

Zabójcza
improvizacja

JAN ANTONI
HOMA



*Niebieska
Nuta*

OFICYNKA
WYDAWNICTWO

JAN ANTONI
HOMA

*Niebieska
Muta*

Copyright © Oficynka & Jan Antoni Homa, Gdańsk 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2021

Opracowanie redakcyjne: Justyna Mrowiec

Korekta: zespół

Skład: Perpetuum Design, Marzena Madej

Grafika: P Animates, Vecteezy.com

Projekt okładki: Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © Artem | stock.adobe.com

© Elena Pavlyuk | depositphotos.com

© Tyhran Hasparian | depositphotos.com

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

ISBN 978-83-66899-57-5



www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl



SPIS TREŚCI

[Karta redakcyjna](#)

[ROZDZIAŁ I KSIĘGA UTRAT](#)

[ROZDZIAŁ II BLUE NOTE](#)

[ROZDZIAŁ III BIAŁY SZKWAŁ](#)

[ROZDZIAŁ IV CZERWONY NOS](#)

[ROZDZIAŁ V ZIELONY LIŚĆ](#)



ROZDZIAŁ I

KSIĘGA UTRAT

Ile można stracić w ciągu roku? Dużo. Zwłaszcza jeśli posiadało się wiele. Mówią, że łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niż bogatemu dostać się do raju. Ale ten, który traci wszystko na ziemi, już na niej zaznaje piekła.

Strat było tyle, że właściwie nie wiem, od której zacząć. Może jednak od tej podwójnej. Gambit iście królewski. A właściwie policyjny. Istnieje niezawodny sposób na to, aby utracić ukochaną i przyjaciela za jednym posunięciem. Chyba nic bardziej nie boli. Ale zdarza się. Ludziom z krwi i kości. Nas też kiedyś dopada ponura statystyka wydarzeń niewyobrażalnych. Dlaczego Antosia wybrała policjanta, a nie altowiolistę? Sami ich zapytajcie. Mnie nie potrafili tego wytłumaczyć.

Po burzliwych wypadkach, w których oboje omal nie straciliśmy życia, zdawało się, że cała jego reszta jest czasem darowanym. Jednak na co komu logika w uczuciach? Spotykaliśmy się kilka razy we troje, czasami w większym gronie, potem dopiero dowiedziałem się, że panna Antonia Mars i nadkomisarz Robert Bielski spotykali się także w cztery oczy. Wkrótce Antosia wyjechała ponownie do Włoch, przyjmując ostatecznie propozycję asystentury na padewskim uniwersytecie. Policjant również często odwiedzał Półwysep Apeniński. Oficjalnie w sprawie handlu żywym towarem, w który zamieszany był między innymi mój wróg numer jeden oraz jeden z naszych europosłów. Jednak oficer Bielski, jak na bystrzaka z wydziału zabójstw przystało, miał podzielną uwagę.

W trakcie którejś rozmowy przez skype zauważyłem na licu mojej ukochanej podejrzany rumieniec. Przycisnąłem ją nieco i od słowa do słowa wyjaśniło się, co, a właściwie kto jest tego przyczyną. Zamknąłem sprawę szybko cytatem z klasyka: nie chce mi się z tobą gadać. Ale odchorowałem zdradę i to ciężko. Ktoś chyba czuwał nade mną, nie pozwalając mi paść ofiarą wszystkich popełnionych wówczas głupstw, takich jak próba rozdzielenia walczących na maczety kiboli wzajemnie nienawidzących się klubów. Ale złego licha nie bierze. Lub też: nieszczęśliwego stal się nie ima.

W tym samym mniej więcej czasie we Włoszech wypłynęły nowe dokumenty. Moje – ciągle jeszcze moje – winnica i Casa okazały się obciążone takimi długami, że najlepszym, co mogłem zrobić, było podpisanie zrzeczenia się prawa własności. Czy stał za tym Benvenuto Adriano Collontani, włoski mafioso, który miał solidne powody, aby mnie nie lubić? Zapewne. I powiem więcej: walczyłbym, gdybym miał dla kogo. Dla samego siebie mi się nie chciało.

Kolejna strata była wielce dotkliwa, ponieważ jej obszar rozciągał się na moje życie zawodowe. Była to utrata czucia w małym palcu lewej ręki. Najprawdopodobniej następstwo lotu na płoźie helikoptera i upadku zeń. To i tak najmniejszy wymiar kary za szaleństwo, których się dopuszczałem. Poza tym – powie ktoś – cóż to znowu za kontuzja? Dla wielu profesji bez większego znaczenia. Jednak dla mnie – kluczowa. Prawdziwe być albo nie być altowiolisty. Teoretycznie można śmigać po gryfie trzema palcami. Bądźmy jednak szczerzy: obniża to sprawność o dwadzieścia pięć procent. Konsekwencje? Proszę bardzo. Orkiestra przestała mnie zapraszać do współpracy, a Kwartet imienia Gudelsteina, moje dziecko w jednej czwartej, znalazł nowego altowiolistę. „Cholerna sprawa, ale sam rozumiesz”, mówili koledzy. Rozumiałem.

Państwo Sabina i Sebastian Marsowie ogromnie przeżywali moje nieszczęścia. Nie mogli zrozumieć decyzji córeczki, ale ja im w tym zrozumieniu pomóc nie mogłem. „Tu był i jest twój dom, możesz mieszkać tak długo, jak zechcesz”, oznajmił Sebastian, a Sabina rozpląkała się tylko i przytuliła mnie. Ale jakże mógłbym zostać w miejscu, które z każdego kąta przemawiało Antosią? Jak żyć w kamienicy, która była świadkiem moich triumfów i ostatecznej klęski?

Czy mówiłem już, że babcia Antosi, niezrównana Adela, bez której nie dokonałbym żadnego z ważnych odkryć, również odeszła? Odeszła z Czasem, kochankiem, który miłościwie zamyka oczy wszystkim po kolei. Czy przed śmiercią dowiedziała się o naszym z Antosią rozstaniu? Ja jej o tym nie mówiłem, ale starsza pani miała niezemską wprost intuicję.

Uważny czytelnik powie teraz: „Nie narzekaj! Na pewno nie opuścił cię najwierniejszy spośród przyjaciół”. No cóż, i ja w to wierzę. Ale jeśli jest przy mnie, to wyłącznie w postaci duchowej. Zachorował nagle, z dnia na dzień niemalże. „Bez operacji się nie obędzie”, powiedział nieoceniony profesor Jachowicz, któremu tak Eston, jak i ja ufaliśmy bezgranicznie. Gdy otworzył biednego psiaka, okazało się, że zmiany nowotworowe są tak zaawansowane, że zostało mu kilka dni, góra tygodni życia. W cierpieniu. Oparłem się egoistycznej pokusie, aby towarzyszyć mu przy odchodzeniu. Wolałem, aby został przy mnie już bez bólu, w postaci dobrej energii. Jedynej dobrej energii, która mnie nie opuściła. Ziemskie szczątki mojego najlepszego przyjaciela spoczęły w krakowickim parku, nieopodal jeziora, z którego kiedyś wyłowili słynną batutę Rucacellego.

Zapomniałem o czymś? Aha, Gedete, mój przyjaciel w ludzkiej skórze, zabrał ze sobą Polę, z którą Eston zdążył się jeszcze bardzo... zaprzyjaźnić, i wyjechał na Łotwę. Zapraszał mnie kilka razy, ale nie chciałem zwalić mu się na głowę w roli kompana boleściwego.

W cieniu powyższych strat wszystko inne traciło na znaczeniu. Nie przejmowałem się faktem, że już wkrótce nie będę miał za co żyć. Wiedziałem właściwie tylko jedno: w Krakowicach zostać nie mogę, a do Włoch nie mam po co wracać. Było mi obojętne, dokąd

wyjadę, byle odciąć się od przeszłości. Wybór powierzyłem przypadkowi. Pewnego wieczoru położyłem na stole dużą mapę Polski, zamknąłem oczy, wycelowałem palec wskazujący i na chybił trafił dotknąłem miejsca przeznaczenia.

Nazywało się Pogodna. Miasto i gmina, jak wyczytałem w internecie, z kilkudziesięcioma tysiącami mieszkańców, średnio ciekawą historią, usytuowane gdzieś wśród lasów i borów nieopodal. A zresztą, czy to ważne?

Właściwe miejsce, aby zapomnieć. Pogodzić się ze światem i z sytuacją. I zaznać odrobiny pogody.

Aby się nie rozmyślić, jeszcze tego samego dnia zapakowałem do rzęchowatego suzuki alto mój skromny dobytek i ruszyłem.



ROZDZIAŁ II

BLUE NOTE

Pogodna. Na pierwszy rzut oka miasto, jakich wiele. Chaotycznie rozsiadłe osiedla bloków. Bliżej centrum kamieniczki pokryte płachtami reklam. Kwietnik zadbane, ale trawnik to klepisko. Sklepy i sklepiki. Ściany z łakomymi szczękami bankomatów. I ludzie z torbami pełnymi zakupów, jakby szykowała się wojna, a co najmniej długi weekend.

Co robi samotny jeździec przybywający do miasteczka? Idzie do saloonu. Sądząc po okazałym szyldzie, centralnym punktem miejscowego rynku był pub Pogodna dla Bogaczy. Doceniłem finezyjną grę tytułem starego serialu i nazwą miejscowości oraz stanem ducha, a może i portfela mieszkańców. Powstrzymałem chęć rzucenia barmanowi miedziaka, ograniczając kowbojską fantazję do zamówienia piwa z beczki. Siadłem z boku kontuaru, aby nie rzucać się w oczy. Ale kto miał mnie widzieć, już zobaczył. Bywalcy podobnych barów znają ich każdy element w szczegółach. A kto mógł tu przebywać, jak nie stali klienci?

We wnęcie po lewej stronie sali kilku mężczyzn grało w bilard. W przeciwnym rogu skupili się fanatycy rzutek. Przy dość luźno porozrzuconych stolikach siedziało kilka par mieszanych, zajętych sobą, i jednopłciowych, zajętych pić. Prawą stronę baru wypełniała estrada. Choć tonęła w mroku, dostrzegłem stół mikserski, sprzęt nagłaśniający i mikrofony w ochronnych kapturkach. Weekendowe królestwo didżejów. Nie budziłem – przynajmniej pozornie, przynajmniej na razie – niczyjej ciekawości. Pijąc jeszcze nie przeze mnie nawarzone piwo, w spokoju rozważałem następny krok.

– Macie tu coś do jedzenia? – zagadnąłem barmana, niewysokiego krępego chłopaka w bluzie w paski.

– Coś mamy – odparł. I zamilkł.

Dowcipniś.

– A co?

– Pierogi, na przykład.

– Z mrożonki? – spytałem, jakby miało to jakieś znaczenie.

– Nie, z odzysku. Zbieramy to, czego klienci nie dojadzą.

To już było mniej śmieszne, ale mój głód dał za wygraną.

– Mogą być ruskie. I jeszcze kufelek.

Chłopak bez słowa zniknął na zapleczu.

I gdy zastanawiałem się, jak mogą smakować ruskie pierogi z odzysku i kto z byłych lub aktualnych gości ich nie dojadł, przed knajpą rozległ się hałas, który w ułamku sekundy złe mi się skojarzył.

Gdy wyskoczyłem na ulicę, w pobliżu suzuki nie dostrzegłem nikogo, jednak w tylnym oknie auta ziała potężna dziura. Barman zjawił się kilka chwil po mnie.

– Coś im się nie spodobało... – przyglądał się roztrzaskanej szybie. – No tak! – orzekł domyślnie. – Po co ta tęcza?

– Tęcza?!

Faktycznie, na tylnej szybie Antosia przykleiła mi kiedyś tęczę. To było w trakcie wycieczki zaułkami Toskanii, gdy... Ech, po co wspominać.

– A co to, tęcza to symbol zakazany?!

– Człowieku, nie mów mi, że nie wiesz, o co chodzi!

Wiedziałem. Pewnie, że wiedziałem. Tęcza, ten odwieczny zdawałoby się symbol łączności świata bogów i ludzi, w naszym kraju się przewartościowało.

– Witaj w Pogodnej. Chodź, zjesz te pierogi na koszt firmy. A szybę kumpel wstawi. Niedrogo. Dam ci namiar.

No dobra, jakoś przełknę te miejscowe ravioli, wypiję piwo, które – jednak – sam nawarzyłem i pojedę dalej. Gdzieś musi być mój Pacanów.

Blżej wieczora przybywało klientów. Na estradzie zaczęli się szarogęsić dwaj młodzieńcy. O ile pierwszy wyglądał na metalowca, drugi był najwyraźniej hiphopowcem. Metalowy szybko i bez ceregieli uruchomił sprzęt, dając koledze ciężko brzmiący, rytmiczny podkład. Koleś w czapeczce pokazujący prawą dłońią diabelskie widełki zaczął wstrzeliwać się frazami typu: „Zakłamanie, ja powiadam, bajek wam nie opowiadam, w zarąbanym siedzę dole, wkurwia mnie, że ja pierdole...”.

Knajpa zaczęła podrygiwać do rytmu. Jaki by nie był poziom kapeli, miała wierne grono słuchaczy.

– Miejscowi? – spytałem barmana gwoli podtrzymania wątej konwersacji.

– Nie, przyjezdni – odparł w swoim stylu.

– Ktoś im płaci za występ?

– Żartujesz? Kto miałby im płacić? Chłopaki się cieszą, że mogą się wypowiedzieć i jeszcze ktoś ich słucha. Zresztą to nie jedyna kapela u nas.

– Czyli jednak miejscowi.

Barman spojrział na mnie spođe łba.

Zaczynało mi się podobać. Są idee (tęcza), twórcy (kapele) i głód sztuki (słuchacze). Do tego niezłe pierogi z odzysku. No i całkiem sensowne piwo z beczki. Może jednak puścić w niepamięć epizod z szybą?

– Zamierzam zatrzymać się tu parę dni. Nie słyszałeś o niedrogim lokum?

Otaksował mnie wzrokiem.

– Dziś możesz się przespać na zapleczu. Żadne luksusy, ale nikt ci nie będzie przeszkadzał. I za darmo. Jutro pochodzisz po mieście i coś znajdziesz.

Był to jakiś punkt zaczepienia. Na lepszy liczyć nie mogłem. Przecież zdałem się na przypadek. Dość czyniłem w życiu dalekosiężnych planów, które zawiodły mnie do... Bez „do”. Po prostu zawiodły.

Następnego dnia, po odrzuceniu dwóch nazbyt czytelnych prób wciśnięcia mi starego truchła w opakowaniu okazji, za rozsądną cenę wynająłem kawalerkę. Trzy miesiące płatne z góry. Na to jeszcze było mnie stać. Po południu odebrałem auto z nową tylną szybą. Po chwili namysłu przylepiłem na nią świeżą tęczę. Na moje lub ich nieszczęście miałem tych naklejek całkiem sporo. Właściciel sklepu płytowego w Pienzie, odurzony urodą i wdziękiem mojej byłej wiarołomnej, podarował jej kiedyś cały plik. Pewnie bym o nich zapomniał, gdyby nie aktywność koleśi. Kto aż tak bardzo nie lubi kolorów?

Miałem się różnych prac. Ścinałem trawę, nieudolnie manewrując kosiarką wśród krasnali, muchomorów i jelonków bambi. Pomagałem w przeprowadzce, wyprowadzałem psy i rozwoziłem pizzę własnym samochodem. Przeprowadziłem nawet rozmowę z właścicielem zakładu introligatorskiego, który oznajmił, że z braku zapotrzebowania na usługi zamyka interes, ale może mnie wynająć na dwa dni do likwidacji warsztatu. Pewne nadzieje pokładałem w parasolniku. Klimat Pogodnej był mniej słoneczny niż nazwa, statystycznie ponad połowa roku z deszczem. Jednak i on narzekał, że ludzie wolą teraz kupić nowy parasol niż naprawiać stary.

Nie uchylałem się przed żadnym wyzwaniem, nawet jeśli było to dostarczanie bielizny pościelowej do magła. Musiałem coś robić, potrzebowałem małego życia, bez przyszłości, bez wizji i bez czasu minionego.

Moje kontakty towarzyskie praktycznie nie istniały, nie licząc tych niezbędnych, z pracodawcami. Na pytania typu: „Kim jestem? Skąd przyjechałem? W jakim celu? Na jak długo?”, odpowiadałem monosylabami. Dwóch pierwszych nie miałem ochoty roztrząsać. Na pozostałe nie znałem odpowiedzi.

Wszedłem na most. Rzeka, której brzegi spinał, była szeroka. Za czorta nie wiedziałem, co jest po drugiej stronie. Czasem nawiedzała mnie chęć skoku w czarną otchłań. Zwalczałem ją jako nazbyt kuszącą, a przez to niebezpieczną. Dreptanie jest mniej efektowne, ale nie pozbawia nadziei. Skok w czeluść – owszem. Przynajmniej w doczesnym wymiarze. W metafizyczny nie miałem zamiaru się wkręcać. Stałem się szarym atomem szarego mikrokosmosu. I nawet jeśli nie było mi z tym dobrze, to także nie całkiem źle.

W szarym mikrokosmosie Pogodnej łatwo dawały się zauważyć jednostki kolorowe. Widywałem śniadego chłopaka o długich kręconych włosach. I dziewczynę o włosach krótkich i zmierzwionych, za to niewiarygodnie wręcz niebieskich. On wyglądał, jakby odziedziczył geny śródziemnomorskie albo nawet kreolskie. Ona sprawiała wrażenie kosmitki. Przypominała bohaterkę filmu. Przyzwyczailem się do ich obecności na ulicach. Gdy któregoś dnia zniknęli mi z oczu, poczułem niepokój. Ich ponowne pojawienie się przyjąłem z ulgą. Śniady przeważnie palił papierosa, a idąc, kołysał się w takt słuchanej muzyki. Dziewczyna była doskonałym wręcz uosobieniem obojętności wobec świata. Wyobrażałem sobie, że spojrzenie jej niebieskich, niebiesko okonturowanych oczu oraz pogardliwe wyduęcie na niebiesko pomalowanych ust mrożą delikwenta, który podejdzie za blisko.

Któregoś wieczoru, pod koniec drugiego tygodnia pobytu w mieście wróciłem do domu połamany po całodniowym dźwiganiu kartonów i skrzynek na zapleczu supermarketu. W ubraniu zwałem się na łóżko, którego zapadnięty materac ostatecznie dotknął podłogi. Gdy otworzyłem oczy, było już ciemno. Dramatyczna pustka w lodówce zmotywowała mnie do wyjścia na miasto. Był piątkowy wieczór, dobry moment, aby napić się piwa z lokalnego browaru.

Nie miałem zamiaru jechać samochodem, ale coś mnie zaniepokoiło.

Chodnik z tyłu auta był obsypany rozbitym szkłem. Wrogowie tęczy też rozpoczęli weekend. Aż dziwne, że namierzenie mojego suzuki zajęło im tyle czasu.

Machnąłem ręką. Do poniedziałku nie zamierzałem siadać za kierownicę.

Feliks przywitał mnie, jakbyśmy widzieli się wczoraj.

– I co, zrobili ci szybę?

– Zrobili... Ale o kogo właściwie pytasz? O tych, co wstawiają, czy o wybijaczy?

– Co, znowu?!

– Nie dają łatwo za wygraną – przytaknąłem.

– Nudzą się, gówniarze – mruknął z konsternacją. – Roboty nie ma, to bawią się w rycerzy.

– W rycerzy? Oni się bawią, a ja płacę. Nie wiem, czy to takie rycerskie. Jak tak dalej pójdzie, będę spać w samochodzie – dodałem bez doprecyzowania, czy będzie to zasadzka, czy smutna konieczność.

Na estradzie krzątał się tym razem tercet hiphopowy. Mówiąc o urodzaju miejscowych kapel, barman wcale nie przesadzał.

Zdzierżyłem aż do tekstu: *Szkoda pogodnego nieba, obcych nam tu nie potrzeba.*

Zdawało mi się, że grupka miejscowych skinów patrzy na mnie znacząco. Pasowali na pogromców tęczy, lecz nikogo za rękę nie złapałem. Feliks musiał dostrzec grymas na mojej twarzy, bo zakpił:

– Jak ci się nie podoba, idź do Blue Note.

– Dowcipny jesteś. A masz jakiegoś concorde na podporządku?

– No co ty, nie mów mi, że nie wiesz! Jesteś tu od pół miesiąca, a nie słyszałeś o naszym klubie jazzowym?

– Klubie jazzowym?! – szczęką omal nie dotknąłem lady.

– Właściwie to raczej kawiarnia, w której puszczają jazzową muzykę. Ludzie mają różne pomysły...

– I potrzeby – uzupełniłem. – A ty tam chodzisz?

– Ja? Nie zauważyłeś, że wieczorami pracuję?

– Ale wiesz, jak trafić?

– Nic trudnego. Idziesz cały czas Hydrauliczną i skręcasz w Niebiańską.

– A nie w Lewarową? – dalej nie wiedziałem, czy kpi.

– Przy Hydraulicznej znajdowały się zakłady produkujące pompy hydrauliczne. A Niebiańska wiedzie na cmentarz. Wystarczy ci takie tłumaczenie?

Może mówił prawdę? Hydrauliczną potrafiłem nawet zlokalizować.

– Dobra, dzięki – zapłaciłem za piwo. – Ale jeśli mnie wystawiasz, wróć i nakleję ci na witrynie kilka tęczy.

Informacja o istnieniu w Pogodnej klubu jazzowego, czy choćby tylko jazzowej klubokawiarni – i to jeszcze o nazwie Blue Note – wymagała natychmiastowego sprawdzenia.

Jazz nigdy nie był mi obcy. Kochałem go miłością nieskażoną, bo nigdy nie stanowił pola mojej bezpośredniej aktywności. Dzięki jazzowym brzmieniom po krzyżu chodziły mi rozkoszne dreszcze. Sączone niczym krople upojnego drinka dźwięki jazzowych ballad syciły mego ducha. Nic tak nie potrafiło zmobilizować mnie do akcji jak synkopowane rytmy. Jazzu nie musiałem oceniać – delektowałem się nim.

Stąpając po wiekowym bruku Hydraulicznej, zastanawiałem się, czy rzeczywiście prowadzi do błękitnego nieba. Wydawało się to absurdalne. Ale lofty w starych zakładach pomp i ich odświeżone ceglaste ściany sprawiły, że przez chwilę uległem iluzji poruszania się ulicą Nowego Jorku. Na Boga, coś byłoby aż tak dziwnego w fakcie, że wśród kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców znalazła się garstka miłośników nieco bardziej wysublimowanej muzyki? – myślałem pełen nadziei.

Ostatnią przecnicą Hydraulicznej rzeczywiście okazała się Niebiańska. Obramowywał ją szpaler niewysokich budynków otwartych za dnia, teraz pozamykanych i ciemnych. Sklep z mydłem i powidłem, punkt ogrodniczy, pracownia powroźnicza i dysponująca największą witryną firma o niebudzącej wątpliwości nazwie Ostatnie Pożegnanie. Wśród kilku punktów mdlawego oświetlenia jaskrawo wybijała się jaśniejsza plama w głębi ulicy. Ruszyłem w jej kierunku.

Wewnątrz zagospodarowanego podwórka stało kilka porządných aut. Nad podświetloną rampą znajdowało się główne wejście. „Klub jazzowy Blue Note” – głosił wypukły, jakby stworzony z liter nagrobnych napis nad drzwiami. Jeśli był to sen, to nadzwyczaj sugestywny.

„Co niedziela jam session dla nieboszczyków...” – odezwały się we mnie resztki dawnego sarkazmu. Trudno było zapomnieć, że dalej rozciągają się już tylko tereny cementarne.

Otworzyłem drzwi. I oniemiałem. Nie był to klub zombie ani zbiorowy sarkofag. Nie przypominał też zapewne nowojorskiego pierwowzoru, który znałem tylko ze zdjęć. Ale tak przytulnego i klimatycznego wnętrza nie widziałem od dawna. Ściany, czarne i białe na zmianę, niczym układanka z hebanu i kości słoniowej lub klawisze fortepianu, udekorowane były umiejętnie podświetlonymi plakatami i zdjęciami. Wśród nich „Blue Note – a story of modern jazz” z nazwiskami kilku gigantów muzyki improwizowanej. Polski plakat „Niebieski jazz” z postacią przypominającą trochę dyrygenta, a trochę warszawską Nike oraz poster Jazz Jamboree 1988 z sylwetką muzyka zatopionego w improwizacji. Prócz tego czarno-białe zdjęcia Milesa Davisa, Oscara Petersona, zbiorowy portret Melomanów i kilku innych postaci, których nie potrafiłem rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Pianino, bas i perkusja stojące na niewielkim podwyższeniu w rogu sali dowodziły, że czasem się tu grywa. Przy kilku stolikach siedzieli ludzie pogrążeni w kameralnych rozmowach. Jeśli w klubie obowiązywał zakaz palenia, to obchodzono go szerokim łukiem.

Z głośników dobiegały dźwięki *Kołysanki Rosemary* Komedu.

Przy barze dostrzegłem znanego mi z widzenia śniadego chłopaka. Prawem niedającej się wytłumaczyć logiki obok niego stała Niebieska.

Dziewczyna powiedziała coś do śniadego, który obrócił się i podszedł w moim kierunku.

- Nie stój w przeciagu, bo cię zawieje. No, chodź, wiedziałem, że kiedyś tu przyjdiesz.
- Zamkną drzwi i lekko popchną mnie w kierunku baru.
- A skąd wiedziałeś? – spytałem niezbyt błyskotliwie.
- Jest specyficzny typ ludzi, który prędzej czy później tu trafia.
- Jest też inny, jeszcze bardziej specyficzny, który nie dojdzie tu nigdy – rozkręcałem się.

- Pocieszcie się, że kawałek dalej – dziewczyna wskazała głową w kierunku cementarza – trafią wszyscy.

Niebieska Zjawa widziana z bliska zyskiwała nowy wymiar. Zanim jednak zdążyłem się na nią napatrzeć, zdjęła z wieszaka czarną kurtkę i rzuciwszy: „Siemasz, Cygan”, ruszyła w kierunku wyjścia. Nie zaszczyliła mnie nawet spojrzeniem.

- Siemasz, Blue.

Gdy tylko dziewczyna zniknęła, Cygan poklepał mnie po ramieniu i pokazał barowe krzesło.

- Nie wgapij się tak w nią. Od tego ci nie przybędzie. Im bardziej ktoś się jej przypatruje, tym bardziej ona go nie dostrzeże.

- Tak ogólnie patrzę – odparłem, rozglądając się dokoła. To, do czego Cygan zdążył przywyknąć, dla mnie było odkryciem.

- Wiem, wiem... Zaskakująca miejscówka jak na taką mieścinę. Przyzwyczaisz się, jeśli będziesz przychodził, oczywiście.

I Cygan opowiedział mi nietuzinkową historię.

Przedsiębiorca pogrzebowy Ignacy Lędźwień, tak jak jego przodkowie, szył garnitury umarłakom. Mówiąc precyzyjnie, kroił i zbijał dla nich trumny. Wszystko wskazywało, że spadkobierca pana Ignacego również zostanie stolarzem specjalnego przeznaczenia. Jednak Staszek Lędźwień dorastał, wykazując zgoła niewielkie zainteresowanie życiem (poza)grobowym. „Meble – mówił – zgoda, ale dlaczego zaraz trumny?” Na międzypokoleniowe rozterki nałożyła się potężna fala zmian systemowych. Pan Ignacy, zamiast modernizować i poszerzyć działalność, by wyciąć konkurencję w promieniu dobrych kilkudziesięciu kilometrów, uległ namowom syna Staszka (zdrobnienie od Eustachy) i przebrznowił się. Jego specjalnością stały się dębowe meble kuchenne, które wkrótce podbiły rynek krajowy i zagraniczny, tak wschodni, jak i zachodni. Młody Lędźwień był menedżerem godnym nowych czasów. Odebrał wszechstronne wykształcenie. Cechowała go też naturalna ciekawość świata. Któregoś razu tatuś zafundował mu wycieczkę do Nowego Jorku. Staszek wrócił jeszcze bardziej skosmopolityzowany. „Zostanę – powiedział – jeśli w Pogodnej powstanie klub jazzowy”. Eustachy nie docenił determinacji ojca, który postanowił zatrzymać syna za wszelką cenę. Jak mógł dopuścić, aby dochodowe królestwo dębu i sosny przeszło w obce ręce? Klub powstał w miejscu, a wręcz w siedzibie, w której wyprodukowano tysiące trumien. Młodego Lędźwienia to nie zniechęciło, bowiem obcując od dziecka z problematyką trumienną, miał do niej zdrowy dystans. I tak Eustachy za dnia negocjował z kontrahentami (miał do pomocy cały sztab ludzi), a wieczory spędzał we własnym klubie jazzowym.

Blue Note stał się magnesem dla nieco bardziej wymagających mieszkańców Pogodnej. Do klubu nie sprowadzano renomowanych zespołów. Prawdę mówiąc, nie sprowadzano żadnych zespołów. A przecież grali w nim – coś z tego, że z płyt – najlepsi. Lokal nie tylko nie generował strat, ale też przynosił lekkie zyski, głównie z tytułu małej gastronomii i wyszynku. Zresztą na miejscu była garstka ludzi gotowych grać, i to nie za pieniądze. Wśród nich Cygan – pianista i saksofonista w jednej osobie.

– Co śróde mamy wieczory jazzowe z muzyką na żywo. W środy, czyli – podrapał się po głowie – za kilka dni, zdaje się. Wpadnij, jak chcesz.

– A Blue będzie? – spytałem, sam nie wiem dlaczego.

– Oho, następny – zrezygnowany Cygan pokręcił głową. – Nie wiem. Tego, man, nikt nie wie. Ona żyje własnym rytmem.

Skłamałbym, mówiąc, że informacja o braku zażyłości między Blue a Cyganem sprawiła mi przykrość.

Jeszcze większą przyjemność odczułem, patrząc na siedzącą przy jednym ze stolików dziewczynę o ciemnych, kręconych włosach i pełnych kształtach. Przez chwilę pożałowałem, że nie jest sama. Towarzyszący jej facet wyglądał, jakby na dzisiejszą okazję zrzucił z grzbietu dres i zdjął z szyi złoty łańcuch. Zamiast nich przywdział wiśniową koszulę, zielonkawy krawat i jasny garnitur, połączenie o małym potencjale estetycznym. Być może jego towarzyszka była podobnego zdania, bowiem nie poświęcała mu całej uwagi. Kilka razy smagneła mnie nawet spojrzeniem, po którym jasno-wiśniowo-zielonkawy miał prawo wstać i dać mi w pysk, a które rozgrzało trochę moje wyziębione serce. Dość wrażeń jak na jeden wieczór. Przybiłem piątkę z Cyganem i przy dźwiękach Chicka Corei opuściłem pogodniejską Blue Note.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że wrócę tam w środę. Jak mógłbym opuścić występ Cygana? Początek tygodnia mijał szybko przy drobnych pracach – już nie pamiętam jakich – i w atmosferze przyjemnego oczekiwania.

Cygan liderował triu, którego skład uzupełniali perkusista Jakub i basista Mikołaj. Grali przyzwoicie, a nawet dojrzałe. Gdybym usłyszał ich w wielkomijskim klubie jazzowym, wcale bym się nie zdziwił. Wraz z publicznością pławiłem się w atmosferze klubu. Nowojorska iluzja uzyskała nowy wymiar. Zamknąłem oczy. Gdy je otworłem, mój wzrok padł na dziewczynę o ciemnych kręconych włosach. Była sama. Być może jej partner nie mógł dopasować wdzianka na dzisiejszy wieczór albo też wystarczająco pogrążył się poprzednią kreacją.

W pewnej chwili Cygan wstał od pianina i zawiesił na szyi saksofon tenorowy. Zastanawiałem się, jak muzycy poradzą sobie z ubytkiem instrumentu harmonicznego. O mało nie spadłem ze stołka, gdy zobaczyłem, że za klawiszami siada... Blue. Nie improwizowała, ale dawała całości wystarczająco solidny podkład harmoniczny.

To nie był koniec niespodzianek. Po nastrojowo zagranej balladzie *Autumn in New York* Cygan powrócił do klawiszy, a Blue stanęła przy mikrofonie i zaczęła śpiewać *My funny valentine*. Myślałem, że jest to zapowiedź dłuższego występu, ale dziewczyna ograniczyła się do jednego standardu. „Zawsze tak robi”, tłumaczyli potem jej koledzy.

Głos Blue był przyzywający i odpychający zarazem, szorstki i metalowy, a gdy chciała – aksamitny. Syrena obrażona na świat. Aretha Franklin, Flora Purim i Aga Zaryan w jednym.

– Jesteś odtrutką na tęczowych rycerzy, którzy dewastują mi auto – powiedziałem dziewczynie, gdy skończyli grać.

– Gdyby wiedzieli, że nazywasz ich tęczowymi rycerzami, chybaby ich szlag trafił.

– Skrót myślowy. I nie moje zmartwienie. Gdzie tęczę rąbią, tam kolory lecą. W ciebie też jeden trafił.

Spojrzała bez wyrazu.

– Przyjeżdżasz nie wiadomo skąd, wojujesz kolorową nalepką i masz się za obrońcę uciśnionych? Pożyj na tym zadupiu miesiąc albo dwa, to porozmawiamy.

– Jestem tu już od pewnego czasu – odparłem bez przekonania.

– Ponoć szczęśliwi czasu nie liczą – zakpiła.

A kto ci powiedział, że jestem szczęśliwy? Że w ogóle chcę być szczęśliwy? Lepiej żyć bez złudzeń – chciałem powiedzieć, ale w porę się powstrzymałem. Nie z Blue takie pretensjonady.

– No dobra, wystarczy tego gadania. Ja spadam.

I Blue rozplynęła się w powietrzu niczym maźnięcie niebieskiej farby.

Zanim zdążyłem zadać pytanie, Cygan uprzedził moją ciekawość.

– Wymyśliła sobie tę niebieskość. Pancierz, który stał się jej drugą skórą. Na co dzień opiekuje się krewną przykutą do łóżka. Z domu wyrывa się tylko wtedy, gdy ciotka jest w lepszym stanie.

– Wiesz, ja się na tym nie znam, ale dziewczyna z takim głosem mogłaby zrobić karierę.

– Twierdzisz, że się nie znasz, a mówisz, jakbyś się znał. – Cygan przyglądał mi się bacznie.

– No, a z tobą chyba jest podobnie. Co cię tu właściwie trzyma?

Spojrzał na mnie z taką udręką w oczach, że natychmiast zrozumiałem. Był śmiertelnie, beznadziejnie i dozgonnie zakochany w Blue.

– Zaraz, zaraz – rzecz zaczęła mi się układać w całość. – Czy pan Eustachy nie szarpnął się na ten klub z powodu fascynacji niebieskowłosa?

– To mogło mieć wpływ – odparł Cygan szczerze. – Ale on naprawdę lubi jazz.

– A wracając do ciebie...

– ...nie narzekam – odparł szybko. – Raz w tygodniu wesele, trochę innych imprez, ktoś gustuje w muzyce biesiadnej, ktoś w cygańskiej, a jeszcze inny woli Greka Zorbę. A w wolnych chwilach mam z kim grać jazz. Czego więcej mi trzeba? Pokaż mi kogoś, kto ma do wyłącznej dyspozycji scenę jazzową.

Miał rację, choć nie wiem, czy taka sytuacja mu odpowiadała. Jazz to zmienność, ruch, dynamika. Ciągłe niezaspokojenie, wieczne szukanie...

– Pojadę do miasta i będę obnosił swoje muzyczne wdzięki jak panienka? – kontynuował. – Albo w *Mam talent* wystartuję? Powiem ci, że w naszym kraju jazz to nie jest chodliwy towar. No dobra, o mnie wystarczy, powiedz coś o sobie.

– Powiem ci. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze trawię...

– To traw w spokoju. Nie ma presji. Ale ty coś zbyt rozumnie czytasz frazę. Strzelam: muzyka to teren ci nieobcy.

Cygan prócz talentu miał również intuicję.

Reszta wieczoru potoczyła się w pewnym sensie sama. Do kasy wpłynął cały mój dwudniowy zarobek. Jazzowy wieczór rozkołysał mi duszę i ciało. Przy wyjściu o mało nie zderzyłem się z pełnymi kształtami.

– Przepraszam – wymamrotałem.

– Nic nie szkodzi. Donata jestem. – Podała mi ciepłą, obiecującą dłoń.

– A ja Bartek... Miło mi.

– Fajne imię. Odprowadzisz mnie?

Odprowadziłem.

Aż do domu.

Aż na piętro.

Aż do sypialni.

Cygan był tego wieczoru wyjątkowo pobudzony. Początkowo grał na klawiszach, ale widziałem, że ciągnie go do saksofonu. Na saksie potrafił odjechać najdalej. W końcu przyszał się do niego jak spragniony do butelki. Krótkimi, urywanymi frazami próbował uzupełniać harmonię, którą Mikołaj rozsiewał na basie najgęściej jak potrafił (pytali kiedyś Charliego Hadena, dlaczego młodzi basiści grają dwa razy więcej nut od niego: oni szukają, ja już znalazłem – odparł). Całkiem naturalnie mieścił się w zmiennym, pofałdowanym rytmie perkusji. W pewnej chwili wspiął się na wysoki dźwięk, zatrzymał na nim, dął w ustnik długo i pozornie bez wysiłku, ale w końcu dostrzegłem, że twarz mu poczerwieniała. Zaskoczeni muzycy spojrzeli po sobie; wtem dźwięk saksofonu się urwał. Zapanowała pełna napięcia cisza, ale to wszystko chyba było wyćwiczone, gdyż alt Cygana ruszył naraz pokrętnym, opadającym węzłem melodycznym. Basista i perkusista odetchnęli z ulgą i wypuścili lidera na solo. A ten zamknął oczy, podnosił i opuszczał instrument zgodnie z ruchem frazy, szarpał nim na boki, aż bałem się, że urwie smycz, która podtrzymywała go na szyi. Cygan się zapamiętał, a jego szaleństwo zaczęła z wolna udzielać się i mi. Zamknąłem oczy i przez moment nic nie dostrzegałem, a po chwili pod powiekami eksplodowały świetliste plamy. Traciłem poczucie czasu i przestrzeni, gdy nagle... Nagle ją dostrzegłem... Zbliżała się jak malutki punkcik, potem niewielka piłeczka, leciała niczym ruchliwa pszczoła i tylko kolor miała niepszczele, bo błękitny. Ani przez chwilę nie zbliżyła się na tyle, abym mógł jej dotknąć.

– Zasłuchałeś się, człowieku.

Cygan, spocony i zdyszany, stał obok mnie z tryumfalnym wyrazem twarzy. Jakże mu zazdrościłem. Rzeczywiście, zasłuchałem się. Zasłuchiwanie przychodziło mi ostatnio z taką łatwością, jak kiedyś zagrywanie.

– Widziałeś ją? – spytałem.

– Ją? – Cygan zaczął lustrować salę w poszukiwaniu Blue.

– Niebieską nutę... Grałeś tak, jakby pojawiła się na horyzoncie.

– Może i majaczyła. Ale wszystko, co niebieskie, trudno złapać... – westchnął.

– No, a co z Blue?

Spojrzał na mnie jak na potencjalnego konkurenta.

– A bo co? – spytał prawie zaczepnie.

– Nic, nie widziałem jej od kilku dni.

– Ja też nie – schował się za mgłą pozornej obojętności. Nie wiedziałem, czy mu wierzyć.

– Powiesz, co cię tak dzisiaj rozkołysało?

Cygan rozpromienił się.

– Wpadnie do nas kapela. Pierwsza liga, duże nazwiska. Parę miesięcy temu odwiedził nas koleś, który pisze do „Jazz Forum”. Musiał im naopowiadać, że jest tu zaczyn środowiska, a nawet klub jazzowy, w którym nie grała jeszcze kapela z prawdziwego zdarzenia. Będą w pobliżu, więc zgodzili się zbroczyć parę kilometrów z drogi i zagrać kilka setów. Za poczęstunek, dobry klimat...

– ...i odrobinę uwielbienia – dokończyłem.

– Skąd wiesz? – zdziwił się.

– A nie jest tak? Artyści są na to łasi. A jak już przyjadą, to pewnie nie obejdzie się bez jam session.

– Mam nadzieję.

– No tak... Czuję, że was wyhacza. Blue i ciebie na pewno.

– Pożyjemy, zobaczymy – odparł lekko, ale nieczęsty na jego obliczu szeroki uśmiech wskazywał, że on także brał to pod uwagę. – No dobra, szczerść za szczerść. – Cygan postanowił mnie przycisnąć. – Powiedz w końcu coś o sobie. A jeśli okaże się, że nie miałeś do czynienia z muzyką, więcej nie zadnę w saksofon. – Szedł w ciemno, ale z pełnym przekonaniem. – I chodźmy do kanciapy, bo tu za drogo.

Siedliśmy w pomieszczeniu ciasnym, ale przytulnym.

– Podobno szykowano tu zwłoki do pochówku – oznajmił Cygan.

Bardzo przytulnym. Na stole postawiłem butelkę, która na razie nie wzbudziła zainteresowania Cygana.

– No, to mów.

Powiedziałem. Bez zbędnych słów i patosu. Gdy opowiadałem o faktach, które mógł znać z prasy lub telewizji, kiwał głową, jakby wszystko mu się zgadzało. Potem zamyślił się.

– Polej no, kolego. Co my tu mamy?

– Nie bardzo jazzowy napój.

– Dobra, nie tłumacz się.

Porwał butelkę i nalał solidnie do dwóch szklanek.

– No, to wypijmy, a potem coś ci powiem. Boże, co to jest?! – otrząsnął się gwałtownie.

– Gin Lubuski. Spieszyłem się, sklep zamykali, wziąłem pierwszą butelkę z brzegu.

– Nieważne, człowieku. Są sytuacje, w których nawet żywica ma swoją emocję. Posłuchaj... Fajna opowieść. Każdy jakąś posiada. Może nie wszystkie są tak barwne i bogate, ale mają jedną wspólną cechę. Wiesz jaką?

Pokręciłem głową.

– Należą do przeszłości. To czas miniony dokonany, man.

– Tak uważasz? – zaskoczył mnie.

– Nie inaczej. Ludziom przytrafia się to i owo, to chyba normalne. Jednego nie rozumiem. Dlaczego odstawiłeś altówkę?

– No, co ty, chyba kpisz? Jestem instrumentalnym kaleką. Bez jednego palca możesz sobie dąć w rurę, ale dla smyczkowca to koniec. Co prawda znam wiolonczelistę, który stracił

mały palec lewej ręki i zdołał się przestawić, ale to zdarzyło się w dzieciństwie. Dla mnie jest za późno.

Cygan kręcił głową.

– Dam ci parę płyt do posłuchania, a jutro pogadamy. Powiesz mi, co słyszałeś, a ja odpowiem ci resztę.

Nagrania były boskie. Bez trudu rozpoznałem brzmienie skrzypiec Stephane'a Grappelliego i gitary Django Reinhardta. Skrzypek grał, jakby miał palców w nadmiarze. O co chodziło Cyganowi?

– Nie o skrzypka – wyjaśnił następnego dnia – tylko o gitarzystę. Facet ucierpiał w pożarze, stracił władzę w dwóch palcach lewej ręki, a potrafił wypracować własną technikę gry i stał się jednym z gigantów światowego jazzu.

Z trudem wierzyłem w słowa Cygana. Sprawdziłem je drobiazgowo. I co? Mówił prawdę! Samą prawdę i tylko prawdę.

– No wiesz, zdarzają się wybitne jednostki – odparłem.

– Tak, ale w twoim przypadku nie chodzi o granie jako takie, tylko o granie jazzu. Rozumiem, że w klasyce możesz mieć problemy, ale *jazz is freedom*. Pytanie, czy się w nim odnajdziesz. No i czy chcesz to grać. Wszystko w twoich rękach. I w głowie. Ani Mikołaj, ani Jakub to nie są zawodowcy. Jeden pracuje w banku, drugi uczy angielskiego. Ale mają do tego dryg. A przede wszystkim chcą to robić.

– To znaczy? – wizja Cygana oszałamiała mnie.

– Tu masz ćwiczenia w paru skalach jazzowych – poszperała na półkach i wręczył mi mocno wysłużony zeszyt nutowych wydruków i odbitek. – Jakimi palcami je zagrasz, twoja sprawa. Ale nie wciskaj mi, że nie poradzisz sobie bez jednego palca. To nie Paganini, man. A jak rozruszasz rękę i, że tak powiem, poczujesz bluesa, daj znać, pogramy razem. I zobaczymy, co z tego wyniknie.

Tego wieczoru przyglądałem się zamkniętemu futerałowi. Miałem obawy przed otwarciem trumny z własną przeszłością. A nuż upiór ożyje, rzuci się na mnie i zacznie dusić? Gra szła o rozbudzone nadzieje.

Założmy, że Cygan ma rację. Rozruszam rękę. Poszukam niestandardowych palców. Ale czy ja, klasyk, poradzę sobie z giętkością jazzowej frazy? Czy znajdę nuty właściwe do jej prowadzenia? Chyba łatwiej improwizować muzykowi, który grał do kotleta, niż filharmonikowi.

Fakt, że byłem biały jak mąka, nie stanowił problemu. Biali brawurowo wkroczyli do świata jazzu, który ma czarne korzenie. Chyba nigdy żaden czarny nie powiedział: nie dasz rady grać jazzu, bo jesteś biały. Dzięki talentowi, wysiłkowi i otwartości biali odnaleźli w nim swoje miejsce. Jazz ma czarną duszę i białe skrzydła.

A w muzyce klasycznej? Dlaczego w najlepszych orkiestrach czy po prostu orkiestrach tak trudno dostrzec czarnoskórych muzyków? Czyżby byli mniej utalentowani? Nie radzili sobie z zawiłościami muzyki europejskiej?

Simon Bolivar Symphony Orchestra czy Kinshasa Symphony Orchestra to zespoły, którym świat przygląda się z sympatią, ale jest to nierzadko sympatia podszyta protekcjonalizmem.

Nie jest powszechną wiedzą – a historia to niezwykle ciekawa – że adresatem pierwotnej dedykacji, a zarazem pierwszym wykonawcą *IX sonaty na skrzypce i fortepian* op. 47 Ludwiga van Beethovena był ciemnoskóry skrzypek (partię fortepianu wykonywał sam kompozytor). George Augustus Polgreen Bridgetower urodził się w roku 1778 na dworze księcia Hieronima Wincentego Radziwiła w (nomen omen)... Białej Podlaskiej, jako syn Niemki i afrykańskiego bądź barbadoskiego księcia, zatrudnionych na dworze polskiego arystokraty. Nie pora tu i miejsce na streszczanie życiorysu muzyka, dość powiedzieć, że kiedy Beethoven usłyszał go w Wiedniu, właśnie jemu postanowił zadedykować *Sonatę* (*Sonata mulattica composta per il mulatto Brischdauer, gran pazzo e compositore mulattico*, brzmiał żartobliwy wpis). Prawykonanie odbyło się w niesprzyjających okolicznościach; skrzypek grał jakże niełatwą partię, widząc ją na oczy po raz pierwszy. Skutek mógł być tylko jeden. Opijając nieudany występ, wykonawcy poróżnili się. Ostatecznie Beethoven wycofał dedykację dla Bridgewatera i napisał nową dla Rudolfa Kreutzera. Co prawda Kreutzer nigdy utworu nie wykonał, twierdząc, że prawykonanie już się odbyło, a poza tym utwór jest po prostu za trudny. Ale dzieło przeszło do historii właśnie jako *Sonata Kreuzterowska*. A wraz z nią kilka filmów, opowiadanie Lwa Tołstoja, kwartet Leoša Janáčka... Jak niewiele brakowało, aby wszystkie nosiły miano *Sonaty Bridgewaterowskiej!*

W swoich wspomnieniach Duke Ellington opisuje debiutancki koncert w Carnegie Hall czarnoskórego skrzypka Willa Mariona Cooka, który pod koniec XIX wieku studiował w Berlinie u Josepha Joachima. Po koncercie jeden z recenzentów określił go mianem „największego murzyńskiego skrzypka świata”, na co ten miał roztrzaskać skrzypce, krzycząc: „Nie jestem największym murzyńskim skrzypkiem świata, tylko po prostu największym skrzypkiem świata!”.

Ale to działo się pod koniec XIX wieku, powie ktoś. Słusznie.

Mam też inny przykład, z początku wieku XXI.

Pamiętnego wieczoru Filharmonia Krakowicka wykonała *I symfonię D-dur* Gustava Mahlera pod batutą czarnoskórego dyrygenta. Koncert był znakomity, co przyznał również pewien krytyk, tytułując swoją recenzję: *Nawet Murzyn może dyrygować Mahlera!*

Skoro tak, to jazz może grać nawet biały altowiolista.

Odważyłem się. Początki nie były łatwe, ale ręka szybko podjęła wyzwanie. A ponieważ grałem przeważnie bez nut, słuchem sterując ruch palców po gryfie, pojawiły się świeże nawyki i umiejętność posługiwania nową aplikaturą. Z czasem, w tajemnicy przed wszystkimi, zacząłem grać z Cyganem. Jego trafne i wnikliwe uwagi sprawiały, że czerpałem coraz więcej przyjemności z jazzowej przygody. Odnalazłem to, po co przyjechałem.

Jak chyba każdy, lubię wyodrębniać jednostki czasu. Kontynuować lub oddzielać. Zaczynać. Kończyć. Przechodzić do następnego etapu. To, co przeżyłem w Pogodnej, układało się w pewnego rodzaju całość. Kończyła się kwarantanna, kwartał dobrowolnej zsyłki. Cezura między dwoma odcinkami życia. Trzy miesiące, które przeżyłem, choć mogło być różnie.

Poznałem Donatę, która po świeżym zawodzie miłosnym szukała pocieszenia w moich ramionach. A ja? Stety lub niestety nie pociągają nas wyłącznie kobiety mądre i moralne.

Gdyby tak było, nikt nie czytałby Dostojewskiego. Inna sprawa, że jego amoralne rozpustnice przeważnie okazują się świętymi. Donata nie była bohaterką Dostojewskiego. Ale ja też nie okazałem się bohaterem z jej bajki. Szybko zdaliśmy sobie sprawę z nieprzystawalności. Na szczęście Donata patrzyła na mnie bez wstrętu, nawet z jakimś odcieniem sympatii. „Wróciłeś mi wiarę w siebie, w to, że ciągle podobam się mężczyznom”. Bardzo mocno przywróciłem jej tę wiarę. Widywałem ją w Blue Note w towarzystwie coraz to innych przystojniaków.

Poznałem Cygana. Faceta, który był równie naturalny w życiu, jak i w muzyce. Pomógł mi, jak chyba mało kto. Wyciągnął z wody, ściągnął z mostu, powiedział wyraźnie: możesz iść dalej. Jednak nie miałem ochoty czynić go odpowiedzialnym za moje życie. Pokazał mi drogę i to powinno wystarczyć. Tak jak ja przywróciłem Donacie wiarę w jej kobiecość, tak Cygan przywrócił mnie instrumentowi. Czucia w palcu przywrócić nie mógł, ale przekonałem się, że mogę wejść w rejony muzyki przedtem zastrzeżonej.

Poznałem wreszcie – a właściwie nie poznałem – Blue. Mogłaby mieszkać dziesięć metrów ode mnie, a nie wpłynęłoby to na nasze relacje, których po prostu nie było.

Pogodna, ze swoim szarym tłumem i kolorowymi jednostkami, z Pogodną dla Bogaczy i Blue Note, ze wszystkimi ludźmi i miejscami, których nie poznałem, była mechanizmem, którego funkcjonowania ani nie usprawiłem, ani, na szczęście, nie zakłóciłem.

Plan był jasny. Nazajutrz po występie pierwszoligowej kapeli wsiądę w swojego ręcha i, jeśli tylko zapali, wyjadę.

Ale miało stać się inaczej.

Pożegnalnego wieczoru postanowiłem nie zjawiać się w klubie zbyt wcześnie. Nie byłem tu aktorem pierwszo- ani nawet drugoplanowym. Liczba gości mnie zaskoczyła. Nie tylko mnie, bo Aśka i Tamara, zazwyczaj pracujące osobno dziewczyny z baru, w pośpiechu dzwoniły do znajomego, aby dowiózł kilka opakowań jednorazowych kubków.

Mikołaj i Jakub pomagali pierwszoligowcom zainstalować się na niewielkiej estradzie. W podnieceniu coś im wyjaśniali.

Moje oczy przyciągnęła Donata. Kwitnąca i rozświetlona, w towarzystwie, powiedziałbym, urzędnika powiatu. Dzisiejsze wydarzenie miało swoją rangę. Warto się było pokazać.

Dostrzegłem też trójkę tęczyowych rycerzy. Odziani w krótkie zielone kurtki, wąskie spodnie i ciężkie wojskowe buty, świecili łysinami. Na odsłoniętych szyjach widać było tatuaże w whitepowerowej stylistyce. Ich obecność mnie zaskoczyła, ale przecież przyjść mógł każdy.

Jednak większym zaskoczeniem był brak osób, których obecności spodziewałem się w stu procentach. Nie było menedżera Eustachego, który – jak dowiedziałem się od Tamary – ku swojej rozpaczy musiał akurat tego dnia wyjechać w sprawach realnego biznesu, czyli dębowych mebli kuchennych. Nieobecność Blue – a jej obecności nie dałoby się przeoczyć nawet w największym tłumie – w jakiś sposób dała się przewidzieć. Dziewczyna nawet z okazji dzisiejszego koncertu nie zmieniała przyzwyczajęń. Miałem nadzieję, że później wpadnie. Prawdziwą niespodzianką, i to zdecydowanie negatywną, była nieobecność Cygana. To on miał być głównym rozgrywającym. Wiedziałem, jak wiele obiecuje sobie po dzisiejszym wieczorze. Nie było mowy, aby przestraszył się sławnych muzyków. Cygan znał swoją wartość.

Kapela ruszyła do boju, a ja wciągnąłem się w muzykę. Grali repertuar raczej standardowy, ale poszczególne solówki, zwłaszcza trąbki i fortepianu, ulatywały w bardziej swobodne przestrzenie. Publiczność Blue Note była zachwycona. Powiatowy eksperyment z klubem jazzowym wykształcił całkiem spore grono odbiorców. Gdy kwintet grał, cichły rozmowy. Za to w przerwach między setami gwar wybuchał ze zdwojoną siłą. Kilka razy dostrzegłem, jak Mikołaj i Jakub unoszą ramiona w niemym geście zdziwienia. Byli całkowicie skonfundowani brakiem swojego lidera. A mi przyszło do głowy, że Cygan na pewno pojawi się razem z Blue. Tymczasem koło dziesiątej dziewczyna rzeczywiście przyszła, ale sama. Rozglądała się po sali, pewnie również w poszukiwaniu Cygana, a nie zobaczywszy go, podeszła do basisty i perkusisty. Ze mną nawet się nie przywitała. I dobrze. Zwalniało mnie to z obowiązku pożegnania. Z rozgrywającej się między nimi pantomimy wywnioskowałem, że bez Cygana chłopaki w ogóle nie zamierzają grać. Blue coś im tłumaczyła, potrząsała głową, wydawało się, że jest wściekła.

Pierwszoligowcy skończyli, ale nie opuszczali miejsc. W końcu pianista wstał i podszedł do chłopaków, aby zachęcić ich do udziału w jamie. Mikołaj wbił oczy w podłogę, a nieco śmielszy Jakub zaczął coś tłumaczyć.

Po krótkiej wymianie zdań pianista wrócił na estradę.

– Dowiedzieliśmy się, że nie wszyscy miejscowi jazzmani pojawili się dzisiaj w klubie. Szkoda, ale co zrobić. W tej sytuacji zagramy coś na pożegnanie – oznajmił.

W tym momencie do podium podeszła Blue, która zwróciła się bezpośrednio do lidera.

– Chwileczkę, jeszcze jedna zmiana planu! – uśmiechnął się zaskoczony pierwszoligowiec. – Jest ktoś chętny, aby z nami zaśpiewać. Oto Blue, wasza *sophisticated lady*!

Aplauz zatrząsł klubem jazzowym. W ostatniej chwili zjawiła się bohaterka, która na swych niebieskich ramionach gotowa była udźwignąć honor Pogodnej i Blue Note.

Uznałem, że to najlepszy moment na zniknięcie. Gdy Blue zaczęła, byłem już przy drzwiach. Zamykałem je, a Blue śpiewała: *smoking, drinking, never thinking of tomorrow...*

Muzyka i słowa dochodziły do mnie jeszcze, gdy przemierzałem podwórzec. Przytłumione, jak z innego świata. Z zamkniętego rozdziału. W plastikowym kubku zostało trochę piwa. Nie miałem już na nie ochoty. Uchyliłem pokrywę kontenera, pozbyłem się naczynia, zasunąłem ją pospiesznie. Ale w oczach został jakiś znajomy powidok. Ponownie przesunąłem klapę. *She cries...* – śpiewała Blue.

Pomimo zapachu dochodzącego z kontenera zanurkowałem głęboko i wyciągnąłem rozpoznany przedmiot. Była to czapka Cygana. Oryginał z nowojorskiego Blue Note, którą zakładał w trakcie grania. Musiał się na nią wykosztować. No cóż, marzenia są drogie.

Byłem już prawie za zakrętem.

Prawie.

Wróciłem.

Blue właśnie skończyła występ. Bez ukłonu zeszła z estrady, lekko chwiejąc się na niewiarygodnych niebieskich szpilkach, które wydłużały jej nogi aż do gwiazd.

Pierwszoligowcy ruszyli w kierunku baru.

– Siemasz, Blue. Super śpiewałaś.

Nagle zrobiła się niższa o kilka centymetrów. No tak, zdjęła szpilki. Jej stopy wyzwolone z ucisku wydały mi się wzruszająco bezbronne. W przeciwieństwie do oczu, którymi wzięła mnie w kleszcze.

– Powiedz mi tylko, czy widziałaś dzisiaj Cygana.

Musiała usłyszeć w moim głosie ten cień niepokoju, inny niż zazwyczaj, złowróżbny, bo spojrzała na mnie.

– Nie, nie widziałam. A dlaczego pytasz?

Tym razem ja nie odpowiedziałem. Ruszyłem w kierunku Jakuba i Mikołaja, którzy rozmawiali z pierwszozoligowcami.

– Czy widzieliście dzisiaj Cygana? – spytałem bez zbędnych melizmatów.

Obaj zaprzeczyli. Szukali przed koncertem, ale w domu go nie było. A telefon nie odpowiadał.

– A kiedy widzieliście go po raz ostatni?

– Wczoraj – odparł Mikołaj. – Mieliśmy próbę do dziesiątej. Cygan został dłużej, bo chciał poćwiczyć solówki. Każdy ma własny komplet kluczy. Zamyka ten, kto wychodzi ostatni.

– Czy możecie mi powiedzieć – zwróciłem się do Aśki i Tamary – kiedy ostatnio wyrzucaliście śmieci do kontenera?

– A co, brudno? – zdziwiła się Aśka.

– Czy ja wyglądam na inspektora sanepidu? – zniecierpliwiłem się.

– Wczoraj wieczorem, jak wychodziłam. Od tej pory już nie... – Tamara była bardziej konkretna. – Teraz będziemy sprzątać aż do rana.

– Wychodziłaś ostatnia?

– Chłopaki się zbierali, ale nie Cygan. Miał klucz...

– Miał?

– Miał, ma, skąd ja mogę wiedzieć? O co ci właściwie chodzi?! – zdenerwowała się.

– A czy ktoś oprócz klubu korzysta z kontenera na śmieci?

– Właściwie nie, ale czasem ludzie wracający z cmentarza coś wrzucają, nawet dziwne rzeczy – tym razem odpowiedziała Aśka.

Nie pytałem jakie. Nie zadałem również innego pytania, które zabrzmiałoby idiotycznie: czy Cygan sam mógł wyrzucić do śmieci swoją ulubioną i cenną czapkę?

Wróciłem do Jakuba i Mikołaja i opowiedziałem o znalezisku.

– Amuletów się nie wyrzuca – stwierdził basista, a perkusista kręcił głową z niedowierzaniem.

– Od zaginięcia minęły już dwadzieścia cztery godziny. Możemy to zgłosić policji. Który z was zadzwoni?

– A dlaczego nie ty? – spłoszyli się jakby.

Zrobiłem to, informując policjanta przyjmującego zgłoszenie o budzącym niepokój znalezisku.

Pierwszozoligowcy spakowali się i ruszyli w drogę. Chcieli przed świtem dotrzeć do Warszawy. Goście powoli się rozchodzili. W końcu zostały tylko zapracowane Aśka z Tamarą. I nasza trójka.

Gdyby Eston był ze mną, poradzilibyśmy sobie sami. Aż otrząsnąłem się od kierunku, w jakim zmierzały moje myśli. Patrol z psem przyjechał półtorej godziny po zgłoszeniu.

Pokazałem policjantom znalezisko. Pies obwąchał czapkę i bez wahania ruszył w kierunku cmentarza. Zaraz przy brzegu, w płytkim grobie czekającym na kogoś zupełnie innego, znaleźliśmy zaszytletowane i lekko tylko przysypane ziemią ciało Cygana.



ROZDZIAŁ III

BIAŁY SZKWAŁ

W nocy mało spałem. Czuję się, jakby ktoś z całych sił uderzył mnie w niezagojoną ranę. To nie tak miało być. Ano, nie tak. Moje plany wzięły w łeb. Nie mogłem wyjechać. Przynajmniej do czasu wyjaśnienia, co się właściwie stało.

Następnego ranka pobiegłem w kierunku Blue Note, jednak klub był zamknięty i opieczętowany. Na rogu Hydraulicznej i Niebiańskiej natknąłem się na Blue. Jej rozmazana niebieskość odkrywała pokłady bladości i smutku. Gdy spojrzałem na nią, po raz pierwszy nie uciekła wzrokiem. Szukała pomocy. Podszedłem bliżej.

– Nie daję rady – powiedziała cicho. Z trudem powstrzymywała szloch. – Pamiętasz? Kiedyś ci mówiłam: pomieszkał tu trzy miesiące, a zrozumiesz...

– Właśnie mijają trzy miesiące. Dziś miałem wyjechać.

Wydawało mi się, że przez jej twarz przemknął skurcz. Natychmiast go opanowała.

– No to wyjeżdżaj. Przecież nic się nie stało – tym razem rozplakała się na dobre.

Pokręciłem głową.

– Nie wyjadę. Znałem Cygana krótko, ale nie zostawię go teraz, nie zostawię... – ... ciebie, chciałem uzupełnić, ale zamiast tego spytałem: – Kochałaś go?

– Oczywiście! – odpowiedziała natychmiast. – Jak brata – dodała po kilku sekundach.

– Nieraz mówiłam mu, że powinien stąd wyjechać.

– Gdyby pierwszoligowcy usłyszeli go w akcji, pewnie by wyjechał. Zaraz... – Dotarł do mnie sens jej słów. – A dlaczego?

– Bo to nie jest kraj przyjazny kolorom! – wybuchła.

– Bez przesady. Cygan, czy raczej Rom, to właściwie jak nasz.

– A jednak za krótko tu byłś – spojrzała z politowaniem. – Poza tym, jaki tam z niego

Rom.

– Jak to? – nie rozumiałem.

– Normalnie. Cygan to ksywka. Urodził się tu, niedaleko. Włóścianie z dziada pradziada. Miał tyle z genetycznego Cygana, ile ja z kosmitki. Śniady i tyle. Dziękować Bogu, że nie rodzą się u nas sami błękitnocy blondyni.

– Teraz już nic nie rozumiem. Mówisz, że w Pogodnej są problemy z tolerancją, ale Cygan nie był Cyganem. Więc czego właściwie miał się obawiać?

Raz jeszcze spojrzała na mnie jak na myśliciela specjalnej troski.

– Nieważne, jakie co jest. Ważne, na jakie wygląda. Efekt się liczy, rozumiesz? Wymowa tego, co się stało, jest jednoznaczna. Blue Note to ciało obce na swojskim gruncie. Polska nazwa? Nie. Promuje kulturę czarnych? Tak. Czołową postacią jest brudas albo ktoś, kto na niego wygląda? Owszem. Jeśli chcesz zamanifestować swoiście pojmovane przywiązanie do tradycji i niechęć do obcości, trudno o czytelniejszy ruch.

Škada pogodnego nieba, obcych nam tu nie potrzeba...

– Przeczywałaś, że coś takiego się stanie?

– Nie, nie jestem jasnowidzką. Ale teraz, jak już się stało, wydaje mi się to logiczne.

– I naprawdę sądzisz, że to może być robota tych od tęczy?

– Ja nie sądzę. Nikogo i niczego. Ale tyle ci powiem, że najgorszy jest skin wygolony od środka czaszki.

– Blue... Mówisz, jakbyś miała konkretne podejrzenia.

– Ależ skąd! To kwestia atmosfery. Przekonasz się, na lokalnym portalu pojawi się wkrótce tekst dowodzący, że to spoczywający na pobliskim cmentarzu dawni mieszkańcy Pogodnej upomnieli się o poszanowanie tradycji.

Nie odpowiedziałem, przekonany, że Blue nie panuje nad emocjami. Ale okazało się, że miała rację.

„W godzinie trudnej i bolesnej dla naszej społeczności trzeba zadać pytanie. Czy to aby nie ręka naszych przodków wyciągnięta zza grobu upomniała się o szacunek dla tradycji i ziemi? Tej ziemi, za którą przelano tak wiele naszej krwi”.

Był to fragment bełkotliwego artykułu, który ukazał się w lokalnym tygodniku wkrótce po zabójstwie. Choć nie było w nim bezpośrednich i jednoznacznych odniesień – autor mógłby udowodnić, że miał na myśli coś zupełnie innego – przytoczony fragment nie budził wątpliwości. Ktoś obeznany z technikami socjologicznymi nazwałby to próbą kształtowania opinii publicznej. Jeśli intencją autora było wzięcie w opiekę „ręki przodków wyciągniętej zza grobu” (sformułowanie komiczne, gdyby nie w istocie koszmarne), to stało się mu zadość. „Ręka przodków” brzmiała bezosobowo, a zastosowanie liczby mnogiej rozmyślało jednostkową odpowiedzialność.

Czynności śledcze podjęte, jak się mogło wydawać, dość energicznie przez miejscową policję doprowadziły do szybkiego zatrzymania dwóch z tęczowego zakonu. Prokurator wystąpił o trzymiesięczny areszt dla podejrzanych. Jakie zarzuty miano im postawić? To z pewnością zależało od wyników śledztwa. Motyw zbrodni – zabójstwo na tle rasowym – wydawał się zbyt grubymi nićmi szyty, zwłaszcza że Cygan w rzeczywistości żadnym Cyganem nie był. Brakowało też narzędzia zbrodni, a ze strzępów informacji przeciekających do tak zwanej opinii publicznej wynikało, że cmentarz i okolice przeszukano dokładnie, z pomocą psów i wykrywacza metali.

Wstrząśnięty Staszek Lędźwień wrócił nazajutrz. Po przesłuchaniu przez policję poinformował, że klub będzie zamknięty do odwołania. Byłem bliski przekonania, że więcej nie otworzy swoich podwoi. Mimo obiecujących znaków na niebie i na ziemi jazzowy eksperyment w Pogodnej zakończył się kłęską. A więc i w tym aspekcie cios zadany „ręką przodków” przyniósł konkretny efekt. Punkt po punkcie potwierdzała się diagnoza Blue.

Smutek mieszał się z bezradnością. To był jeden z tych cholernych momentów, kiedy coś wokół nas idzie nie tak, urąga logice i przyzwoitości, wydaje się złym snem. A jednak dzieje się, nieodwracalnie, z beczelnością faktów dokonanych i zatwierdzonych. Cóż miałem robić? Podjąć prywatne śledztwo? A jaki miałem punkt wyjścia? O co miałem się zaczepić? Miejscowi stróże prawa wiedzieli pewnie więcej, ale z żadnym z nich nie byłem na stopie koleżeńskiej. W zarodku stłumiłem pokusę skontaktowania się z nadkomisarzem Bielskim.

Na miejscowym cmentarzu odbył się pogrzeb Cygana. Rodzice, zapłakani drobni staruszkowie, sprawiali wrażenie, jakby nie wszystko do nich docierało. Miejscowa społeczność stawiała się dość licznie, ale nie tak licznie, jak się spodziewałem. W tłumie żałobników wyczuwałem jakieś napięcie. Patrzyli po sobie, jakby na twarzach znajomych i sąsiadów chcieli odnaleźć potwierdzenie własnych, czasem głęboko ukrytych myśli. To, o czym mówię, ilustrowało pytanie zadane stłumionym głosem przez kogoś w tłumie.

„I po co mu to było?”

Po co mu było „co”?

Po co udawał, że nie jest Cyganem, chociaż wszyscy lepiej od niego wiedzieli, jaka jest prawda? Po co mu była ta niezrozumiała, czarna jak węgiel muzyka? Miał talent? Proszę bardzo! Mało wokół swojskich dźwięków? Mógł grać muzykę źródła. Albo poprzestać na cygańskich balladach. Stamtąd już blisko do piosenki biesiadnej i ukochanego disco polo. Ludzie Cyganów mogą nie lubić, ale cygańska muzyka to co innego. Może wówczas „zbiorowa ręka” nie musiałaby zadawać ciosu. Życie toczyłoby się normalnie.

Przepełniała mnie gorycz. To gorycz kazała mi snuć ten wymaginowany monolog.

Jeśli ktoś sądził, że Blue ubierze się w żałobną czerń, był w błędzie. Przywdziała żałobną niebieskość, bardziej niebieską niż kiedykolwiek. Wyglądała na nieobecną i oddaloną. Dałbym głowę, że jest na prochach.

Mikołaj i Jakub ubrani w czarne garnitury byli dotknięci, przejęci i nieszczęśliwi. Czarne okulary na oczach chroniły ich przed wścibstwem obojętnych. Smutni blues brothers.

Pogrzeb był jak najbardziej katolicki. Ksiądz nad trumną nie bawił się w śledczego. „Nikt z nas nie zna dnia ani godziny”, głosił uniwersalną prawdę. „Ale żal, gdy odchodzi ktoś tak młody i utalentowany. I to – dodał – odchodzi tragicznie”.

Na pogrzeb przyjechała cała pierwszozigolowa kapela oraz kilku znanych w jazzowym światku dęciaków. Zagrali Cyganowi nad grobem „Fanfarę dla Zwykłego człowieka” (*Fanfare for The Common Man*) Aarona Coplanda.

Prosta w wyrazie muzyka poruszyła uczestników pogrzebu. Ten i ów ocierał łzę, a dźwięk dobrze zestrojonych instrumentów niósł się daleko, budząc niepokój wśród cmentarnych wron i kawek.

Któryś z sąsiadów odwiózł rodziców zmarłego do rodzinnej wioski, aby w spokoju mogli rosić ziemię łzami tęsknoty za jedynym synem. Muzycy wsiedli do aut, by powrócić na mainstreamowe drogi. Ludzie rozeszli się szybko. Nikt nie organizował konsolacji, bez której kiedyś nie wyobrażano sobie żałobnych uroczystości.

Zostaliśmy we czwórkę: Blue, Jakub, Mikołaj i ja. Dziewczyna była na orbicie. Natomiast chłopaki robili wrażenie osieroconych. Nie zamierzałem im ojcować, byli raczej w wieku młodszych braci.

– Pójdziemy na piwo?

Zapalili się do pomysłu. Nawet Blue nie protestowała.

Podjechaliśmy pod Pogodną dla Bogaczy.

– Nie boisz się tu parkować? Przecież teraz będą robić, co im się podoba. – Jakub wskazał toskańską tęczę zdobiącą szybę mojego suzuki.

Machnąłem ręką. Sprawy zaszły tak daleko, a ja miałbym się przejmować szybą?

Zaraz na początku piwnej stypy Mikołaj podzielił się nowiną:

– Staszek Łędźwień zamierza sprzedać klub pierwszemu chętnemu.

– A więc pijemy również za śmierć Blue Note – odparł Jakub.

– Podał jakiś oficjalny powód? – spytałem.

– Nie ma sensu prowadzić przegranego interesu. Ludzie nie przyjdą, bo się boją. No i nie ma kto grać...

Wraz z ilością wypitego piwa rosła we mnie przekora.

– A gdyby tak – przerwałem posępne milczenie – powiedzieć menedżerowi, że będę zespół?

– Jak to? – patrzyli na mnie bez zrozumienia.

– Ano, tak to.

I opowiedziałem im. O sobie. O rozmowie z Cyganem. O pracy, którą wykonałem w samotności. O wspólnych próbach, o których na moją prośbę Cygan nikomu nie powiedział.

Jeśli wiadomość, że jestem muzykiem, zrobiła na Blue jakiegokolwiek wrażenie, potrafiła ukryć to skrzętnie, a nawet doskonale. Natomiast Mikołaj uchwycił się pomysłu jak promienia słonecznego.

– A właściwie... na czym ty, eee, grasz? – mówił już trochę bełkotliwie.

– Na altówce – odparłem nie bez dumy.

– Na altówce?! – krzyknęli chórem.

– Nie słyszałem jeszcze jazzu na altówce – mówił zdumiony Jakub.

– Ja też nie – uspokoiłem go. – Ktoś musi być pierwszy. A co, wolelibyście, żebym tańczył na rurze?

Chyba pokonałem ich wyobraźnię. Nawet Blue błysnęła przez moment jaśniejszym okiem.

– Pogadacie ze Staszkiem? Niech da nam trochę czasu. A za tydzień, dwa, może trzy zagramy dla ludzi. Co wy na to?

– Porozmawiam z Łędźwieniem – Jakub coraz bardziej zapalał się do pomysłu.

– I ja swoje dorzucę – odezwała się Blue.

– I to może przeważać – uśmiechnął się Mikołaj. – Jeszcze Blue Note nie zginęła... – zanucił.

Menedżer przystał na propozycję. Klub oficjalnie był cały czas zamknięty, ale my spotykaliśmy się codziennie, na zmianę grając i tocząc burzliwe dyskusje. Na wszelkie sposoby próbowaliśmy wypełnić pustkę po Cyganie. Blue patrzyła na mnie nieco ironicznie, jednak

w końcu zaakceptowała egzotyczne dla niej brzmienie altówki. Prosiłem chłopaków, aby otwierali salę wcześniej. Przed wspólnym graniem chciałem ćwiczyć na klawiszach. W końcu ładnych parę lat uczyłem się też gry na fortepianie. Mogłem przydać się w kawałkach śpiewanych przez Blue.

Koledzy czasem podśmiewali się z moich harmonicznym nieporadności. A kiedy zarzucali mi brak rytmu, mówiłem, że to tempo rubato („skoro tak, to szacun”, powiedział Jakub). Gustowałem w balladach. W wolnych tempach miałem po prostu więcej czasu, aby znaleźć i zagrać właściwe nuty. W kawałkach bardziej dynamicznych ograniczałem się do podania tematu i zwięzłych improwizacji.

Któręgo wieczoru do klubu przyszedł Staszek. Przez dłuższą chwilę nie zauważyliśmy, że się nam przysłuchuje.

– Nieźle to brzmi – odezwał się z aprobatą, gdy skończyliśmy. – Nie tak, jak z Cyganem – dodał, choć nie musiał – ale całkiem dobrze. Kiedy debiut?

Koledzy rwali się do grania. Ja miałem poważne wątpliwości, ale rzecz nie szła o mój komfort i samopoczucie.

– A może podtrzymamy tradycję jazzowych śród? – zaproponował Staszek.

Tym sposobem za kilka dni miałem zagrać pierwszą w życiu jazzową imprezę.

Klubowa galeria plakatów i zdjęć wzbogaciła się o jeszcze jedno. Było to powiększone do rozmiarów posteru zdjęcie Cygana. Fotograf ujął muzyka w trakcie grania. Spod klubowej czapki Blue Note, tej samej, którą znalazłem w pojemniku na śmieci, wysuwały się pukle czarnych, kręconych włosów. Przystojna śniada twarz, uniesiona do góry wraz z saksofonem robiła wrażenie natchnionej. Przymknięte oczy, nieco wydęte policzki, uśmiech błakający się w okolicach ustnika. Kto wie, może właśnie dostrzegł swoją niebieską nutę i zbliżał się do niej? Zdjęcie przepasane było czarną wstążką.

– Czyje to dzieło? – spytałem Mikołaja.

– Blue – odparł.

Nie byłem zaskoczony. Blue potrafiła dostrzec to, co dla innych było zasłonięte.

W rosnącej panice odświeżałem w głowie system porozumiewania się z kolegami w trakcie grania. Drobiazgowymi ustaleniami próbowaliśmy nadrobić moje jazzowe zaległości. Około szóstej przyszły Asia i Tamara. Czyżby Łędźwień spodziewał się aż tylu gości? Miałem solidne obawy, że sala pozostanie pusta. Występ nie był oplakatowany, choć to akurat nie miało większego znaczenia. Wiadomości w Pogodnej rozchodziły się na innej zasadzie. Pytanie nie brzmiało „czy ktoś wie?”, tylko „czy ktoś mimo wszystko przyjdzie?”. Mimo wszystko? A tak. Bo choć brzmi to jak kpina, lokalna społeczność zdawała się przyjmować werdykt wydany i wykonany „ręką przodków”. Zabójstwo Cygana przestało być tematem wiodącym. Przecieki ze śledztwa były mizerne, w zasadzie żadne. Trudno było wyczuć, czy w ogóle się toczy.

Pojawienie się w Blue Note było swego rodzaju manifestacją. A w małych społecznościach nie zawsze łatwo o odwagę. Morderca czy mordercy, kimkolwiek byli, czuli się bezkarni. Na razie, a może i na zawsze. „Byli tu tacy, co chcieli wprowadzać nową muzykę, wbrew historii i tradycji, ale to się źle skończyło. Karząca ręka przodków wybiła im to

z głowy”. Czy taka legenda będzie kiedyś krążyć po okolicy? Zastanawiałem się całkiem poważnie.

Gdy zaczęliśmy grać, na sali było pięć osób. W tym menedżer i dwie kelnerki. Może dlatego nie czułem tremy. Skupiony na graniu, nie widziałem, co dzieje się poza sceną. Gdy skończyliśmy pierwszy set, ze zdumieniem dostrzegłem, że większość stolików jest pozajmowana. Musiała zadziałać poczta pantoflowa, a raczej esemesowa.

„Jednak grają, całkiem nieźle, jest trochę ludzi, przyjdźcie, będzie nas więcej”.

Jeśli komuś nie w smak było chwilowe choćby odrodzenie Blue Note, otrzymał dziś poważny materiał do refleksji.

Gdy kończyliśmy drugą przerwę, klub pękał w szwach. Jakub i Mikołaj promienieli. Blue, dzielnie wspierająca nas na klawiszach, pozostała obojętna. Na razie nie wyraziła ochoty zaśpiewania, co, prawdę mówiąc, mnie nie martwiło, bowiem najbardziej bałem się debiutu w roli jazzowego pianisty. Jazzowym nigdy bym się nie nazwał.

– Rozluźnij się. To nie muzyka poważna. Nie jesteś odpowiedzialny za czyjeś dźwięki. Tylko za swoje – przekonywał Mikołaj.

Grałem z coraz większą przyjemnością. Może miało to związek z piwem, którym raczyli mnie koledzy?

– Tylko nie przesadzaj – studził mój zapal Jakub. – Jak za dużo wypijesz, stracisz samokontrolę i zaczniesz grać bzdurami.

Wyciągnąłem stąd logiczny wniosek, że na razie bzdurami nie gram, co dodatkowo podniosło mnie na duchu.

Wśród gości dostrzegałem sporo znajomych twarzy. Znajomych, ale nie zapoznanych. Dość licznie pojawili się przyjaciele Mikołaja i Jakuba, którzy jednak zawsze traktowali mnie z pewnym dystansem. Dostrzegłem Donatę, nie mniej ponętną niż zwykle, wyjątkowo bez towarzystwa (przypomniałem sobie, jak skończył się jedyny wieczór, kiedy była sama) i z jakimś napięciem malującym się na twarzy. Moje (i pewnie nie tylko moje) zdziwienie wywołała obecność trzech tęczowych rycerzy, kolegów dwójki zatrzymanej w związku z morderstwem. Nie zachowywali się wyzywająco. Słuchali z zainteresowaniem, bili brawo, kiedy pora, w ogóle „jak gdyby nigdy nic”. W przerwie między utworami spostrzegłem, że na stoliku pod zdjęciem Cygana tęczowcy zapalili świeczkę. O co im chodziło? Po skończeniu seta podszedłem do nich.

– Dobrze się bawicie?

– Człowieku, nie wpierdalał się, jak nie wiesz, o co chodzi! – odpowiedział zduszonym głosem najwyższy. Strój i łyse głowy upodabniały ich do siebie.

Szamotanina i burda z pewnością nie pomogłyby klubowi. Opanowałem się. Niezależnie od intencji tęczowej trójki świeczka pod portretem Cygana nie urągała jego pamięci.

– Jeszcze się spotkamy. – Miałem zamiar odejść.

– Mhm, pewnie u szklarza – odparł ten sam, najbardziej widać wygadany.

Ruszyłem w jego kierunku. Drogę przecięła mi Blue.

– Chcę zaśpiewać. Zaakompaniujesz?

Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku estrady.

On Green Dolphin Street, standard naszego Bogusława Kapera, lubiłem szczególnie. Jeszcze wczoraj porównywaliśmy interpretacje Elli Fitzgerald i Sary Vaughan. Nie próbowałem

wybijać się ponad chłopaków. Resztę zrobiła Blue. Zaczęła dość chłodno, ale jej głos rozgrzewał się jak szlachetny stop podgrzewany emocją. I rozgrzał słuchających.

Gdy skończyliśmy, tęczowych nie było. Pod portretem Cygana ciągle paliła się świeczka.

Klub zaczął pustoszeć. Blue jak zwykle zniknęła bez pożegnania. Graliśmy jeszcze trochę, na luzie, bez spiecia, dla przyjemności. Dla siebie. Wśród nielicznych pozostałych była Donata. Chyba sporo wypila, bo patrzyła na mnie dość natarczywie, jakby szukając pretekstu do rozmowy. Ułatwiłem jej zadanie.

– Cześć! Co u ciebie? – Nie mogło być w porządku, skoro była sama. Z bliska dostrzegłem jednak, że Donata nie jest pijana, a wyraz jej twarzy jest raczej efektem ciężkiej rozterki.

– Wpadniesz do mnie? Musimy porozmawiać.

– A nie możemy tutaj?

– Wolałabym nie. – Pokręciła głową. – Przyjdź, proszę cię, to ważne.

Idąc do Donaty – w jej głosie było coś, co nie pozwoliło odrzucić zaproszenia – zastanawiałem się, czy kiedykolwiek mógłbym usłyszeć podobne słowa od Blue. Ot tak, po prostu: wpadnij, pogadamy. Nie traciłem nadziei. To właśnie Blue zdobyła się dzisiaj na namiastkę czułego gestu. Ciągle czułem dotyk jej wcale nie tak zimnej dłoni.

Donata otworzyła szybko drzwi i bez ceregieli wciągnęła mnie do środka. Ubrana była w jedwabną podomkę w chińskie smoki.

– Nikt cię nie widział? – spytała z niepokojem.

– Boisz się gniewu zazdrosnego kochanka? – spytałem trochę wbrew intencjom. Ale dziewczyna nie zwróciła na to uwagi.

– Tu nie chodzi o ciebie. Tylko o to, co mam ci do powiedzenia.

Z poprzedniej i jedynej jak dotąd wizyty w mieszkaniu Donaty pamiętałem niewiele. Raczej atmosferę uniesienia, którą oszukiwaliśmy się po osobistych stratach. Pseudowschodni wystrój pomieszczenia był dziś jakby mniej uroczysty, zaniedbany. Brakowało kaskad. Upewniało mnie to w przekonaniu, że Donata traktuje mnie inaczej niż wówczas.

– Napijesz się żubrówki?

Nie odmówiłem. Zupełnie nie wiedziałem, do czego ona zmierza. Postawiła na stole tylko jedną szklaneczkę wypełnioną do połowy lodem.

– Nalej sobie, ile chcesz – podała mi butelkę. Sama wzięła w dłonie kubek z parującą herbatą. Poczulem zapach melisy. Zalałem zielonkawym płynem grzechoczące kostki.

– Powiesz, o co chodzi?

Przez ułamek sekundy, ten ułamek, w którym omamiłem zmysły łykiem żubrówki, przyszło mi do głowy, że Donata chce mi wyznać miłość. Przez ułamek sekundy męska próżność gotowa była zaakceptować ten scenariusz. Ale to, co powiedziała Donata, zaskoczyło mnie znacznie bardziej. Gdybym miał czas, ulitowałbym się nad własną głupotą.

– Ja wiem, kto to zrobił.

– Kto zrobił co? – nie rozumiałem jeszcze.

– Wiem, kto zabił Cygana.

Omaliem nie udławiłem się kolejnym łykiem żubrówki.

– Chyba nie mówisz poważnie?
– Mówię śmiertelnie poważnie.
– A dlaczego właśnie mnie wybierasz na powiernika?
– Bo jesteś jedyną osobą nie stąd, rozumiesz? Poza tym... lubię cię trochę. I chyba nie jesteś świnią.

– Jestem. W chińskim horoskopie.

Uśmiechnęła się blado.

– Nikomu z miejscowych powiedzieć nie mogę, bo istnieje ryzyko, że trafię na niewłaściwą osobę. Tu sieć powiązań jest gęsta i nie do końca zrozumiała. Taka jest uroda małych społeczności. Nic na to poradzisz.

– Donatko – popatrzyłem na nią z troską. – Mów wszystko. Potraktuję poważnie każde twoje słowo.

Uspokojona zaczęła:

– W przeddzień wieczoru, kiedy znaleziono Cygana, byłam w klubie z Michałem. Pamiętasz?

Pamiętałem. Prowincjonalny urzędnik lub biznesmen.

– Po wyjściu z klubu poszliśmy do mnie. W połowie drogi uświadomiłam sobie, że zostawiłam w biurze torebkę z... kosmetykami. – Zaczerwieniła się nieco. – Mam wolny dostęp do sekretariatu. „Bylebyś gachów nie sprowadzała”, zastrzegł szef. No co, przecież nikogo nie sprowadzam! – obruszyła się, chociaż nic nie powiedziałam. – Kazałam Michałowi poczekać i pobiegłam na górę. Wzięłam, po co przyszłam, i już miałam zamykać drzwi wejściowe, gdy zdało mi się, że śmietnik na korytarzu jest niedomknięty. Z przyzwyczajenia poprawiłam pokrywę, ale dostrzegłam, że kosz nie był pusty, choć sama go opróżniałam przed wyjściem z biura. A wychodziłam ostatnia.

Opowieść Donaty powoli traciła obyczajowy charakter.

– W środku był plastikowy worek, szczelnie zamknięty na podwójny rzep. Niczego nie dotykając, oświetliłam wnętrze pojemnika. W worku był okrwawiony sztylet. Zostawiłam wszystko tak, jak zastałam. To pewnie instynkt samozachowawczy. Ale... – zawahała się.

– Zrobiłaś zdjęcie?

– Tak. – Pokiwała głową. – Domyślasz się, że tego wieczoru straciłam ochotę na... ciąg dalszy. Odprawiłam Michała pod pretekstem... no, wszystko jedno jakim. Byłam roztrzęsiona i nie spałam całą noc. Nazajutrz przyszłam do pracy o zwykłej porze, aby broń Boże nie zdradzić, że wiem o czymś, o czym wiedzieć nie powinnam. Zaraz po wejściu dyskretnie sprawdziłam kosz. Był pusty. Czułam niepokój. Z Michałem umówiłam się na wieczór w Blue Note. Występ kapeli z Warszawy. Dopiero tam, między ludźmi i przy muzyce poczułam się lepiej. Nie zdawałam sobie sprawy z nieobecności Cygana, bo nie on był gwiazdą wieczoru. Po koncercie Michał przyszedł do mnie, ale znów ogarnęły mnie wcześniejsze lęki. Intuicja mówiła mi, że coś się święci. Michał tracił cierpliwość i kręcił nosem na moje nastroje. W końcu zrobił się agresywny, więc go wyprosiłam. Prawdę mówiąc, miałam ochotę dać mu kopa na pożegnanie. Wzięłam prochy, w nadziei, że dobrze się wyśpię, a rano wszystko wróci do normy. Ale następnego ranka wybuchła bomba...

Opowieść Donaty była dość logiczna. Aby przekonać się, że nie jest wymyślona, musiałem zobaczyć zdjęcie.

– Skasowałam. Nie chciałam nosić przy sobie. Ale, nie martw się – musiała dostrzec, jak mi rzędzie mina – przedtem przerzuciłam na kompa.

Ekran laptopa rozświetlił się zdjęciami Donaty. Niektórymi w dość wyzywających pozach. Została obdarzona przez Stwórcę lub naturę niezwykle szczodrze.

– Napatrzyłeś się? – spytała bez cienia zalotności i otworzyła plik opatrzony hasłem.

Zdjęcie potwierdzało słowa Donaty. Sztylet wyglądał jak rekwizyt teatralny. A raczej wyglądałby, gdyby nie rdzawe plamy na ostrzu.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to ma znaczenie?

– Tak – odparła, zagryzając wargi. – I nie bardzo wiem, co z tym zrobić. Prawdę mówiąc, boję się.

– Prześlij mi to zdjęcie. A plik w komputerze zniszcz.

Skinęła głową.

– Mogę ci zaufać? – spojrzała niepewnie.

– A nie za późno na takie pytanie?

– Masz rację. – Donata z ulgą przyjęła rozwój wypadków. Ktoś był gotów zdjąć z niej ciężar odpowiedzialności.

– Dlaczego dopiero dzisiaj? – spytałem jeszcze.

– Wahałam się, co zrobić. Prawdę mówiąc, miałam ochotę zniszczyć zdjęcie i zapomnieć o wszystkim. Ale dzisiejszy wieczór... Tyle osób pokazało, że się nie boi, że pamięta o Cyganie. Zrobiło mi się wstyd.

Chciałem jej okazać jakiś ciepły gest. Powstrzymałem się w obawie, że odbierze to opacznie. Zamiast tego spytałem:

– Czy nie uważasz, że powinniśmy porozmawiać o twoim szefie?

Zgodziła się.

Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy.

Gdy szykowałem się do wyjścia, było dobrze po północy.

– Jeśli chcesz, możesz zostać – powiedziała cicho, patrząc gdzieś w bok.

– To by świadczyło, że nie zasługiwałem na twoje zaufanie. Nie sądzisz?

Wiedziałem, że jeśli spyta jeszcze raz, zostanie. Dlatego zanim zdążyła odpowiedzieć, zamknąłem za sobą drzwi. Szczęknęły co najmniej trzy ciężkie zasuwki.

Donata od pół roku pracowała w kancelarii adwokackiej Andrzeja Kurczybuta w charakterze sekretarki. Była lojalną i oddaną pracownicą, bowiem szef zatrudnił ją bez nadmiernego sprawdzania zawodowych kwalifikacji. Kilka miesięcy wcześniej Donata, pielęgniarka z wykształcenia, została wyrzucona z lokalnego szpitala za romans z ordynatorem. To znaczy ordynator ją wyrzucił. Logiczne. Przecież siebie wyrzucić nie mógł. W Pogodnej więcej szpitali nie było, więc dziewczyna całkiem poważnie rozważyła wyjazd do innego miasta. I właśnie wtedy mecenas wyciągnął do niej rękę. Donata była ładna, starała się i dobrze poradziła sobie z nowym zadaniem. Większość znajomych uważała ją za szczęściarę. Jej dochody były teraz nieporównywalnie wyższe.

Mecenas Andrzej Kurczybut karierę adwokacką rozpoczynał w PRL-u. Jej szczyt przypadał na okres pracy w Prokuraturze Generalnej, w której był jednym z młodszych prokuratorów. W końcowych latach kariery urzędowej był członkiem Centralnej Komisji

Kwalifikacyjnej, weryfikującej przydatność do służby byłych pracowników SB i MO. Brał również udział w pracach komisji badającej sprawę weryfikacji dziennikarzy w stanie wojennym. W roku 1991 ostatecznie wycofał się z pracy w organach państwowych, a rok później otworzył w Pogodnej własną kancelarię adwokacką. W średniej wielkości mieście sprawny adwokat nie musi obawiać się bezrobocia.

Mecenas Kurczybut podejmował się obrony współobywateli w dziesiątkach procesów. A ponieważ doświadczenie, a pewnie i walory zawodowe miał ogromne, większość prowadzonych przez niego spraw kończyła się sukcesem. Zdobył w ten sposób popularność zdyskontował, startując dwukrotnie – zawsze z powodzeniem – w wyborach do Rady Miasta, której był przewodniczącym. Burmistrzowie się zmieniali, a przewodniczący trwał. Ze względu na chęć całkowitego poświęcenia się działalności adwokackiej zrezygnował z trzeciej kadencji, którą wedle powszechnej opinii miał w kieszeni. Mecenas Kurczybut był w Pogodnej postacią wręcz kultową. Mieszkańcy wiedzieli, że nikt tak jak on nie zagwarantuje im poczucia bezpieczeństwa i sprawiedliwości.

Tyle mówiły fakty, które znała Donata.

Jeżeli sztylet sfotografowany przez Donatę feralnego wieczoru miał związek z zabójstwem Cygana, to znaczyło, że śledczy nie dysponują narzędziem zbrodni, a więc najważniejszym dowodem rzeczowym. Znajduje się on prawdopodobnie w rękach mecenasa, który – to było jasne dla wszystkich – podejmie się obrony zatrzymanych. Co oznacza, że gdyby nie intuicja Donaty, wszelki ślad po sztylecie by zaginął. Ale słowa „ja wiem, kto to zrobił” wydawały się mocno na wyrost. Sama obecność narzędzia zbrodni nie wskazywała winnego. Posądzanie mecenasa o zabójstwo było mocno przedwczesne. Kto i dlaczego przyniósł dowody zbrodni do kancelarii adwokackiej? Kto oprócz mecenasa i Donaty miał do niej nieskrępowany dostęp? Odpowiedź na te pytania równałaby się wskazaniu sprawcy.

Teoretycznie mógłbym pójść na policję i pokazać zdjęcie. Ale jak wytłumaczyć, że znalazło się w moich rękach? Zdekonspirowałbym Donatę, a siebie samego postawił w centrum rozgrywki, o której regułach nie miałem pojęcia. Taka zmiana pozycji nie mogłaby przejść niezauważona. Trudno przewidzieć, jakie przyniosłaby konsekwencje.

W tej sytuacji zdecydowałem się na krok z pozoru mało logiczny. Postanowiłem porozmawiać z kumplami zatrzymanych. Pogromcami tęczy i tylnej szyby w moim aucie. Trójką chłopaków, którzy byli na moim pierwszym jazzowym występie. I którzy nie kryli wrogich wobec mnie zamiarów.

Miałem nadzieję znaleźć ich w Pogodnej dla Bogaczy. Nie myliłem się. Trzech tęczowych siedziało w rogu z posępnymi minami.

– Można się do was dosiąść? – spytałem w braku lepszego konceptu.

Dwóch spojrzało na mnie nieprzychylnie, trzeci zwerbalizował ich wspólne stanowisko. Spaliłem podejście. Nacisk mógł tylko pogorszyć sprawę. Wycofałem się. Na razie.

Następnego wieczoru Blue pojawiła się w klubie. Na stoliku pod portretem Cygana ciągle stała niedopalona świeczka. Gdy Jakub z Mikołajem wdali się w jakiś metryczny spór, usiadłem koło dziewczyny, choć bałem się, że wstanie i wyjdzie. Nie wstała.

– Nie mogę ich rozgryźć... Dlaczego zapalili świeczkę pod portretem Cygana? Myślisz, że to bezczelna ironia?

Blue energicznie pokręciła głową.

– Jedno ci powiem: też uważam, że to zgraja idiotów, ale żaden z nich nie zabił Cygana.

– Skąd ta pewność? Jeden kpił ze mnie w żywe oczy.

– Który? – spytała z zainteresowaniem.

– Ten najwyższy. I najbardziej bezczelny.

– Kpił z ciebie, ale nie z Cygana.

– Mówisz, jakbyś go znała.

– Bo go znam. Aż za dobrze. To... mój brat.

– Co?!

– To, co słyszałaś. Nie rozmawiamy miesiącami, ale czasem coś go nachodzi i wtedy on nachodzi mnie. Wówczas gadamy przez pół nocy.

– Powiesz mi coś więcej? O was. O sobie...

– A o czym tu mówić? Nasi starzy wyjechali za granicę, jak byliśmy szcylami. Zwłaszcza Kolorowy był jeszcze małym chłopcem.

– Kolorowy? Dziwna ksywka jak na skina.

– Sama mu ją wymyśliłam. Taka mała zemsta. Za głupotę. Na jego nieszczęście ksywka się przyjęła... Ale wróćmy do starych. Mieli nas ściągnąć, jak tylko się urzędzą, zostawili na chwilę pod opieką ciotki, siostry ojca. A potem urządzili się, tylko każde po swojemu. Założyli nowe rodziny, jedną w Londynie, drugą w Dublinie, więc po co im były stare dzieci? Całe szczęście, że chociaż kasę przysyłali, każde z osobna, żeby oszukać sumienie. Jakiś czas później ciotka uległa wypadkowi i to nią trzeba się było zająć. Mówiąc precyzyjniej, ja się zajęłam, bo młody zafascynował się wówczas kolorem własnej skóry.

– A... ciebie to nie kusilo?

– Mnie? – Odniosłem wrażenie, że Blue minimalnie się zmieszala, ale szybko wróciła do równowagi. – Nie miałam czasu na pierdoły. Zresztą, co to za wybór? Młody myślał, że jest szalenie oryginalny, *white power* i tym podobny *shit*, tymczasem szedł jak po sznurku. Wyprowadził się, jak tylko skończył osiemnastkę. Pewnie spodobało mu się, że może bezkarnie rozrabiać.

– Czy rozmawialiście po zabójstwie?

Blue skinęła głową.

– Właśnie dlatego ci mówię, że to nie oni.

– I tak mu ufasz? Nie uważasz, że po prostu kryje kumpli?

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– Jestem pewna, inaczej bym nie mówiła.

– To upewnij i mnie.

Tym razem Blue pokręciła głową.

– Jeśli zechce, sam ci to powie. Nie jestem jego rzeczniczką.

Cholerna siostrzana solidarność.

– Już próbowałem.

– Tak? – zainteresowała się. – I co powiedział?

– Mam zacytować? „Spierdalaj, geju”.

Uśmiechnęła się.

– Świat Kolorowego jest czarno-biały. Ty razem ze swoją tęczę na szybie mieścisz się po określonej stronie. A zresztą... – przerwała.

– Co, zresztą?!

– Może ma rację? – dodała niby od niechcienia i niby do siebie.

A mnie jakby kopnął prąd. Bo, po pierwsze, nie wiedziała o mojej przygodzie z Donatą. A po drugie, nigdy nie spotkała się z mojej strony z reakcją, na którą być może czekała. Nie chcesz się ośmieszyć i właśnie tym się ośmieszasz. Udowadnianie Blue, jak jest naprawdę, zostawiłem sobie na deser. Na bliżej nieokreśloną przyszłość. Na razie ważniejsze było, aby Kolorowy zechciał ze mną pogadać. Aby tak się stało, musiałem użyć zrozumiałego dla niego języka. Wybrałem wariant polowania z przynętą. Trochę ryzykowny, zwłaszcza dla mojego auta.

Piątkowego wieczoru wybrałem się do Pogodnej dla Bogaczy. Zaparkowałem tuż pod witryną knajpy. Ktokolwiek do niej wchodził lub z niej wychodził, podziwiać musiał całą galerię tęcz, które zdobiły moje suzuki. Wykorzystałem cały zapas. Gdybym kiedyś przewidział, do czego posłużą mi wspomnienia... Z lokalu ozdoby również były widoczne, zwłaszcza dla wyczulonych na kolory rycerzy, którzy właśnie rozpoczynali weekend. Siedziałem przy barze, wystarczająco blisko, aby słyszeć ich coraz śmielsze wraz z ilością wypitego piwa komentarze. Symulowałem picie. Po dwudziestej drugiej głośno i wyraźnie zwróciłem się do Feliksa: „Trochę za dużo wypiliśmy. Przetawię auto na boczną ulicę, rzucisz okiem od czasu do czasu?”.

Barman machnął ręką, coś chciał odpowiedzieć, ale ja, nie słuchając go i lekko się zataczając, opuściłem lokal. Przetawiałem auto o kilkadziesiąt metrów i fałszywie pogwizdując odszedłem. Za zakrętem zawróciłem jednak i dyskretnie skryłem się w bramie naprzeciw samochodu.

Na drapieźców nie trzeba było długo czekać. Musiałem wyjść w ich oczach na wyjątkowego frajera.

Przyszli jak po swoje i nawet szczególnie się nie kryjąc, za pomocą kijów bejsbolowych zaczęli tłuc szyby, lusterka i reflektory. Wskoczyłem z bramy, głośno krzycząc. Co ciekawe, jeden zdezerterował od razu. Drugi zamachnął się kijem, ale zrobiłem unik. Gdy stracił równowagę, kopnąłem go w zad. Przewrócił się, upuszczając bejsbola, który natychmiast znalazł się w moich rękach. Nie miałem zamiaru go uderzyć, ale on o tym nie wiedział. Zniknął z pola walki z podkulonym ogonem. Wówczas rzucił się na mnie Kolorowy. Mimo wzrostu był krzepki i mocno trzymał się na nogach. Wytrącił mi kij i popchnął na maskę samochodu, aż zazgrzytała blacha. Mój łokieć wylądował gdzieś w okolicach jego splotu słonecznego. Ta walka nie miała nic wspólnego z określonym stylem. Po prostu próba sił. W końcu padliśmy na chodnik pełen pokruszonego szkła. Poczułem jak ostre drzazgi wbijają mi się w dłonie. Kolorowego też zabolowało, bo wrzasnął. Pozbierałem się odrobinę szybciej i zastosowałem jedyny znany mi chwyt obezwładniający zwany nelsonem. Mój przeciwnik krwawił i trząsał się cały. Ja też nie byłem w formie, ale musiałem odgrywać twardszego.

– Wsiadaj do samochodu! – Wbiłem mu kolano w okolice krzyża. Wepchnąłem na siedzenie pasażera. Zanim zdążył zareagować, siadłem za kierownicą i ruszyliśmy. Z okien sypnął się gwiazdny pył, nie, przepraszam, szklany miąż. Kolorowy nie odzywał się. Choć zapach bojowy minął, jego sympatii jeszcze nie czułem. Warczał, charczał i pluł.

Dojechaliliśmy w ustronne miejsce, w pobliże nadrzecznych szuwarów.

– Teraz mi powiesz, kto was kryje. Dla kogo robicie ten cały syf i dzięki komu czujecie się bezkarni?

– Chują ci powiem... – zaczął hardo, ale mu przerwałem.

– Widzisz to? – wskazałem telefon na uchwycie przytrzymanym do przedniej szyby. Choć pokryta pajęczyną spękań, pozostała w całości. – Nagrałem wasz atak. Choćby nie wiem kto was bronił, tym razem się przedziesz. No, ale prawdziwy mężczyzna musi zaznać życia za kratkami, czyż nie?

– Twardy jesteś... Jak na geja – dodał szybko. – Nic nam nie udowodnią. Za ciemno było. Kto nas rozpozna?

– Chcesz się przekonać? Myślisz, że przypadkowo postawiłem auto w najbardziej oświetlonym miejscu? Każda twarz jak na dłoni. Osobiście dostarczę nagranie policji.

– O co ci właściwie chodzi? – zaczął wykazywać zdolności negocjacyjne.

– Żebyś powiedział mi to, co powiedziałeś Blue.

– No, dobra – uległ po chwili wahania. – Powiem, bo i tak już pewnie wiesz od Niebieskiej. Ale w twoim interesie leży, abyś to zachował dla siebie.

– W moim interesie?

– Człowieku, karty są rozdane. Taka będzie główna linia obrony.

– Mecenasa Kurczybuta?

– A kogóż by innego?

Zamilkł, jakby powiedział już wszystko. Postanowiłem ułatwić mu zadanie.

– Twoja siostra jest pewna, że nie macie nic wspólnego z zabójstwem.

Spojrzał podbitym okiem spode łba.

– Skąd wiesz, że Blue jest moją siostrą?

– Myślisz, że sprawdzałem księgi parafialne? – wydusiłem z pokiereszowanych warg. –

Domyśl się, chyba cię to nie przerasta?

Nie odezwał się.

– Dlaczego aresztowano dwóch spośród was? Człowieka oszukasz, ale psi nos nie.

– Tamtego wieczoru... – zawiesił się – transportowali Cygana. Już martwego – dodał po kolejnej chwili.

– Dlaczego?!

– Bo ktoś ich o to poprosił.

– Musiał ładnie prosić...

Znowu zapadła cisza. Rozmowa z Kolorowym nie należała do łatwych.

– Słuchaj – spróbowałem jeszcze raz. – Nie chcę, żebyś wywlekał wszystkie wasze mroczne tajemnice. Powiedz mi tylko to, co powiedziałeś Blue.

– Tamtego wieczoru Łysy zadzwonił z propozycją zrobienia połówki w plenerze. Gdy się spotkaliśmy i wypiliśmy po łyku, powiedział. „Mecenas kazał nam przetransportować jakiegoś śmiecia”.

– Tak się wyraził?

– Tak mówił Łysy.

– No i?

– Wypiliśmy drugą flaszkę i poszliśmy w kierunku cmentarza.

– Ilu was było?

– Początkowo pięciu. Potem Miałki wymiękł. To ten, który dzisiaj pierwszy spierdolił.

Znów się zawiesił.

– No i?

– W kontenerze na śmieci znajdowało się jakieś ciało...

– Nie wiedzieliście, co znajdziecie?

– Łysy wiedział, ale nie mówił. A potem już głupio się było wycofać. Mecenas tłumaczył, że ktoś mu doniósł o zwłokach, a on chciał opóźnić moment ich odnalezienia.

– Dlaczego?

– Spytaj mecenasa – wzruszył ramionami. – No, więc Łysy z Trygławem wzięli trupa i zanieśli go na cmentarz. Głownóg i Miałki mieli ich ubezpieczać. Głownóg to ten, który dziś spierdolił jako drugi. Wrzucili ciało do pierwszego wolnego grobu i zakopali.

– I chcesz mi powiedzieć, że nie rozpoznaliście Cygana?

– No wiesz, że śniadego zrobił się błądy – próbował zażartować. – Pewnie, że tak – spoważniał – ale dopiero po wyjęciu z kontenera.

– A nie przyszło wam do głowy, że stawiacie się w rolach głównych podejrzanych?

– Przyszło, ale trochę później. Jak wracaliśmy z cmentarza alkohol nas odszedł i dostaliśmy niezłej trzęsawki. Więc kupiliśmy jeszcze dwie flaszki i wypiliśmy na cito.

Takiej zbitki słownej nie znałem.

– Na koniec Łysy przedstawił wersję mecenasa. Wracaliśmy z popijawy w okolicach cmentarza, faktycznie, czasem tam pijemy, bo nikt się nie dopierdala, na ulicy znaleźliśmy ciało Cygana, a że baliśmy się, że nas z tym połączą, postanowiliśmy je zakopać.

– Poczekaj, z tego wynika, że mecenas wiedział, kim jest denat.

– Nie wiadomo, w jakim sensie użył słowa „Cygana”.

– Aż tak wielu Cyganów tu mieszka?

– Nie bądź taki dociekliwy. Mówię, co wiem. Mecenas zapewnił Łysego, że dowodów przeciwko nam nie znajda. Mogą nas oskarżyć najwyżej o próbę zatarcia śladów. A z tego wyciągnie nas bez najmniejszych problemów.

Tęczowi musieli mieć wobec mecenasa niejedno zobowiązanie. Otrzymali szansę, aby mu się odwdziżyć i zaskarbić jego bezcenną życzliwość na kolejne lata.

– Masz zamiar to wszystko powiedzieć w sądzie?

– Oczywiście. Nasze zeznania będą zgodne i logiczne. Pominiemy tylko prolog wydarzeń, to znaczy ich zleceniodawcę.

– A jeśli tym sposobem kryjecie mordercę?

– Mecenas mordercą? Chyba zdurniałeś. Kolejny dowód, że nie jesteś stąd.

– Więc po co mu to wszystko?

– Już ci mówiłem, jego spytaj. Ale łączenie go z zabójstwem to czysty nonsens.

– To powiedz mi jeszcze jedno. Po co zapalaliście świeczkę pod portretem Cygana?

– Żał gościa. Zajębiście grał...

Usłyszałem to, co najważniejsze, a nawet więcej. I straciłem czujność. Za to Kolorowy odzyskał ją raptownie. Mógł zakładać, że dokumentuję rozmowę, podobnie jak atak na samochód. Dał się nabrać... Wyrwał z uchwytu moją komórkę, rzucił pożegnalne „spierdaj, geju!” i wyskoczył z auta, aż lusterko ostatecznie odpadło. Nie miałem siły na pościg.

Domyślałem się, że Kolorowy wybebeszy komórkę. Karta pamięci wylądowała w kratce kanalizacyjnej. Wraz z jedynym zdjęciem narzędzia zbrodni. Kiepski ze mnie detektyw. W dali usłyszałem chlupnięcie. To moja nokia zakończyła żywot w smętnych nurtach rzeki Poprawy.

Nie zamierzałem po nią nurkować. Ani teraz, ani nigdy. Ze schowka pod deską rozdzielczą wygrzebałem starego ajfona. Pamiątkę po lepszych czasach.

Spomiędzy gwiazd uśmiechnął się do mnie pysk Estona.

Samochód nie zapalił. Miał dość, podobnie jak ja. Wracając, rozglądałem się wokół. Kontra tęczyowych mogła przyjść niespodziewanie, choć to Kolorowy okazał się najtwardszy z całego towarzystwa. Z nim byliśmy kwita. Darzyliśmy się porównywalną niechęcią. W domu przy szklanceczce żubrówki liczyłem siniaki i zadrapania, które nazajutrz – o ironio – przybrały wszystkie kolory tęczy.

Poranek zacząłem od wizyty w warsztacie, który trochę już zarobił na wstawianiu szyb do mojej limuzyny.

– Tym razem trzeba holować. Da pan radę?

Mechanik bez ociągania otworzył drzwi wiekowego land rovera.

– Wsiadaj pan – zachęcił bez entuzjazmu.

Unosząca się nad miejscem wczorajszej rozmowy smuga dymu i wdzierająca się woń spaleniźny przygotowały mnie na najgorsze. W wypalonym okręgu nadbrzeźnych zarośli powoli dogorywały szczątki suzuki alto.

– Miał już swoje lata – nie chciałem się rozplęwać. – Wreszcie koniec z trwonieniem fortuny na szyby.

Mężczyzna nie robił wrażenia zaskoczonego.

Moje auto wraz z okruciami przeszłości, które zamiast krzepić, raniły, spłonęło na ofiarnym stosie. Całe szczęście, że wyjąłem wczoraj ajfona, moją ostatnią łączność ze światem. Najbardziej żał mi było spalonych płyt: *Koncertów brandenburskich* Bacha i *Aury* Milesa Davisa.

To był kolejny moment, w którym powinienem był rozważyć wyjazd z Pogodnej – i czyniłem to. Ale brak samochodu sprawę komplikował. Wizja pekaesowo-pociągowego exodusu i dworcowej tułaczki przyprawiała mnie o mdłości. Zresztą, po co wracać do bolesnych wspomnień, skoro ma się pod ręką bolesną teraźniejszość? Doraźne prace przeplatałem próbami, które stanowiły teraz sens mojego życia. Spotykaliśmy się co wieczór. Granie przychodziło mi z coraz większą łatwością, co przekładało się na rosnącą satysfakcję. Oficjalnie produkowaliśmy się raz w tygodniu, w czasie śródowych wieczorów jazzowych, ale coraz częściej zdarzały się spontaniczne występy. Liczba słuchaczy ustabilizowała się na przyzwoitym poziomie.

W dniu kolejnego grania nazwa klubu została zachlapana czerwoną farbą, a pod starym napisem pojawił się nowy, również czerwony, który brzmiał: Niebieska Nuta. Dyskretny sygnał: tu się mówi i pisze po polsku. Jakiś inny lokalny twórca poszedł jeszcze dalej: w wyrazie „niebieska” na czarno przekreślił literki „nie”. Najnowsza nazwa klubu brzmiała teraz „Bieska Nuta”.

Staszek Lędźwień odebrał to zdarzenie bardzo emocjonalnie. Jego pasje były komuś mocno nie w smak. „Ręka przodków” tym razem zamiast sztyletu dzierżyła puszkę z czerwonym sprayem.

– Co z tym zrobić? – pytał z goryczą.

– Wyczyścić! – Tamara i Aśka paliły się do szorowania ściany rozpuszczalnikiem.
– Zamalować! – Jakub i Mikołaj proponowali rozwiązanie prostsze, choć z pewnością mniej estetyczne.

– Nie ruszać na razie – zgłosiłem votum separatum. – Dziś wyczyścisz, a jutro znowu zapryskają. Przecież nikt tu nie wystawi całodobowych wart. A i monitoring nie pomoże, jeśli sprawcy zamaskowani. Wiecie, co się stało z moim samochodem?

– A zgłaszałeś to na policję?

– Oczywiście, że tak! – co oni sobie myśleli?

– I co powiedzieli?

– Że będzie ciężko z powodu braku dowodów.

– Spalony samochód nie jest dowodem? No nie, jaja sobie robisz!

– Wcale nie. „Dowody się spaliły” – stwierdzili. W zasadzie mieli rację.

Wieczorem do Bieskiej Nuty przyszło zdecydowanie mniej ludzi niż poprzednio. Efekt odstraszenia znów zadziałał.

Koło dziesiątej pojawiła się Blue.

– Rozmawiałeś z Kolorowym – stwierdziła.

– Opowiadał ci o tym?

– Nie, ale wyglądał podobnie jak ty – spojrzała z ironią na moje pokiereszowane lico. – Miejscomi zazwyczaj nie dyskutują z takim zaangażowaniem.

– Oczywiście. Zamiast tego wbijają nóż. Czysto i bezboleśnie.

Blue skrzywiła się.

– Twój brat spalił mi auto. O tym też wiesz?

– A złapałeś go za rękę?! – zaciętrzewiła się. Siostrzana miłość nie dawała za wygraną. Spróbowałem z innej beczki.

– A może ty powiesz mi coś więcej o niejakim mecenasie?

Pytanie spłynęło po niej jak woda po łądźdzy. Ale dwa zagrane i jeden zaśpiewany kawałek później (*Blues* niesamowitej Blossom Dearie) powiedziała niespodziewanie:

– Syn i córka z pierwszego małżeństwa. Już dawno stąd wyjechali, na całe ich szczęście.

– Z pierwszego? Czyli było i drugie?

– I drugie, i trzecie... W drugim się nie rozmnażał. Owocem trzeciego jest synalek, oczko w głowie. Jego mama umarła, jak miał kilka lat.

– Beniaminek? – spytałem trochę bez sensu.

– Bywalec, lobbysta. Bon vivant.

– Aż tyle epitetów? Właściwie czym się zajmuje?

– Niczym.

– A konkretnie?

– Niczym konkretnym.

Blue nie była łatwą rozmówczynią.

– A gdzie mieszka?

– Blisko miodu. Czyli w stolicy. Ale odwiedza tatusia, zwłaszcza jak mu się kończą pieniądze. Odgrywa komedię miłości synowskiej, na którą stary łapie się bez trudu i z ochotą.

– Mówisz, jakbyś znała sprawę od wewnątrz.

Po raz drugi widziałem Blue minimalnie zmieszaną.

– Chodziłam kiedyś z młodym Kurczybutem. To było dawno temu, ale... z tego, co wiem, mechanizmy się nie zmieniły.

– Bywał w klubie?

– Raz albo dwa. Nie jego klimat. A tak naprawdę nie znosi młodego Łędzwienia.

– Też się w tobie kochał? – strzeliłem.

– Bystry jesteś.

– Pół miasta się w tobie kocha...

– A jednak nie jesteś bystry. Teraz dopiero się zorientowałeś?

Nie widziałem czy kpi, czy tylko bawi się moim kosztem. W Pogodnej połowa samców kocha się w Blue, a druga połowa szuka pocieszenia w ramionach Donaty. W zadziwiający sposób upodobałem się do tubylców.

– Zawsze byli w konflikcie?

– Nie, w dzieciństwie chodzili do jednej szkoły. Dzieci mają naturalną skłonność do zabawy, to starzy ich konfliktują. Mecenasa pogardzał profesją starego Łędzwienia, ten zaś lubił mu świecić kasą w oczy. Adam, czyli syn mecenasa, przejął w końcu tę niechęć. Nie mógł zdzierżyć, że syn „małomiasteczkowego łapiducha” ma tyle kasy.

– A pieniążki tatusia mu *non olet*? – nie wytrzymałem. – Fiołkami pachną? Co on, intelektualista, za przeproszeniem?

– A pewnie! U nas za intelektualistę uchodzi ten, kto publicznie wygłasza swoje opinie.

W domu wystukałem nazwisko gościa. Faktycznie, dawał się zauważyć. Brał nawet udział w celebryckim „Tańcu w ciemno”.

Donaty nie widziałem od pewnego czasu. Uwolniona od niechcianego ciężaru nie dzwoniła do mnie, więc i ja jej nie niepokoiłem. Kiedy w końcu spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy, wyglądała dużo lepiej niż ostatnio. Siedliśmy na ławeczce, na skwerku pomiędzy klombami róż i delikatnie szemrzącą fontanną.

– Powiedz mi, czy od czasu... wiadomego zdarzenia – tak eufemistycznie postanowiłem nazwać zabójstwo Cygana – byłaś świadkiem jakiejś rozmowy, a może korespondencji pana mecenasa, która, powiedzmy, zasługiwała na uwagę?

Gdy okazało się, że nie będziemy podziwiać przyrody ani flirtować, Donata poczuła się nieswojo. Przez chwilę pomyślałem nawet, że żałuje podzielenia się ze mną informacją o sztylcie. Gdyby nie ja, mogłaby zapomnieć.

– To nie takie oczywiste – odparła po dłuższej chwili. – Jeśli słyszysz tylko jedną stronę rozmowy telefonicznej, w dodatku we fragmencie, otwiera się pole domysłów. Ktoś powie: „czerwone, czerwone”, co może dotyczyć krwawych plam, ale równie dobrze wyboru wina do kolacji.

– Oczywiście! – odparłem zniecierpliwiony. – Więc słyszałaś rozmowę o czymś czerwonym?

– Ależ skąd! To tylko przykład. Co jeszcze... – zastanawiała się głośno. – Ulubionym powiedzonkiem mecenasa jest „mam to w nosie”.

– Trochę mało wyrafinowane jak na wziętego prawnika.

– Może, ale tylko tyle przychodzi mi do głowy. A poza tym... powiedziałaś ci już wszystko. I nie sądzę, abym miała szansę, a przede wszystkim ochotę na zdobywanie nowych informacji.

– Szkoda... Mimo to spróbuję poprosić się o coś jeszcze. Czy w ciągu najbliższych dni mogłabyś się zorientować, kto jest najczęstszym rozmówcą twojego szefa?

Była zakłopotana.

– To takie trochę... donoszenie, prawda?

– Nie proszę cię, abys ujawniała treść rozmów! – sam miałem wątpliwości.

– Dobrze – zdecydowała się nagle. – Tyle mogę zrobić. Ale umówmy się, że na tym koniec, OK?

– W porządku – zgodziłem się.

– I nie będziesz mnie szantażował?

– Nie – odparłem po prostu. Fakt, że w ogóle rozważała taką myśl, nie był dla mnie przyjemny. – I weź, proszę, pod uwagę, że gdyby nie nasza ostatnia rozmowa, prawdopodobnie nie byłoby mnie już w Pogodnej.

Donata pożegnała się dość chłodno i odeszła.

Gdy opuszczałem skwerek, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że ktoś był świadkiem naszej rozmowy. Jak to w małym miasteczku.

– Pani Wasiakowa, jest pani pewna, że to było pół tony? Moim zdaniem co najmniej tona...

Uwęgloną ręką otarłem pot zalewający mi oczy. Jazż jazżem, śledztwo śledztwem, a na życie jakoś trzeba zarobić. Byłem chyba jedynym w Pogodnej, który bez grymasów brał robotę, jaka się nadarzała.

– Jakby była tona, to bym panu ze stówę zapłaciła. A za pół tony pięćdziesiąt. Uczciwie, nie?

– A ma pani fakturę? – Nie tak łatwo było przekonać moje zmęczenie.

– A na co mi faktura? Jak się okazja trafia, to się bierze węgiel i na fakturę nie patrzy. Zanim przyjdzie jesień i wszystko podrożeje.

I co miałem robić? Ważyć ten węgiel? Machnąłem ręką i wziąłem się do dalszej roboty. Zapobiegliwa pani Wasiakowa miała już w piwnicy tyle opału, że przez okienko nie dało się dosypać. Chcąc nie chcąc, musiałem zejść na dół i zniwelować blokującą hałdę. Gdy niczym górnik po kolana zapadałem się w czarnym pyłe, zadzwonił telefon. Zignorowałbym nachalny brzęczek, ale kątem oka dostrzegłem, że dzwoni Donata.

– Hej, Bartek, słabo cię słyszę, jesteś poza zasięgiem?

– Tak, zatrudniłem się w kopalni... – chyba tego nie dosłyszała.

– Nie wybrałbyś się ze mną na spacer?

Wyobrażenie słonecznej łąki podziało na mnie ożywczo. Z chęcią przystałem na propozycję.

Donata ubrana była w zwiewną kwiatową sukienkę. Romantyczna i nierozważna.

– Ten strój nie jest dla ciebie. – Czytała w moich myślach. Wypadało mi zapytać dla kogo? Może na to czekała? Właśnie dlatego nie zapytałem.

Szliśmy wzdłuż kanału, w którym poziom wody był równy z gruntem. Nietrudno o fałszywy krok.

– Po zmroku lepiej tu nie chodzić.

– Toteż nie zaprosiłam cię na spacer po zmroku.

Na półwyspie wcinającym się w jezioro pasły się dwie holenderki. Krowy. Odpoczywały dzikie kaczkę i nie mniej dzikie gęsi. Dzika okolica. Brakowało mi tylko krzyku kormoranów. W wodzie dostrzegłem całe pole kwitnących lilii. Powinienem wskoczyć do stawu i zerwać naręczę dla Donaty. Dla uhonorowania jej sukienki.

– Nie musisz tego robić. – Znów podążyła za moim wzrokiem i myślami. – I tak ci powiem.

– A już myślałem, że się nie doczekam.

– Wiem, z kim mecenas kontaktuje się najczęściej. Sprawdziłam połączenia z ostatnich dni. Mówię oczywiście o telefonie biurowym, bo do jego komórki nie mam dostępu. Słyszałam nawet kawałki rozmów... Według mnie te fragmenty do niczego nie pasują. Ale może tobie się przydadzą. Otóż, mecenas najczęściej rozmawia z redaktorem naczelnym miejskiego portalu i lokalnego tygodnika. Słowa, które usłyszałam, brzmiały mniej więcej tak: „Chyba oszalałeś! Teraz przypominać sprawę haitańską?! Na twoim miejscu postąpiłbym wręcz odwrotnie. To samo z linkami do pozostałych zdarzeń. Tak, wykasuj je, dobrze słyszałeś!”. No, to tyle.

Przed nami zamajaczyła drewniana budowla.

– Co to jest? – spytałem.

– Wiatrak. Jeszcze do niego dojdziemy. Drugim regularnym rozmówcą mojego szefa jest komendant policji.

– Mało szokujące. Prawnik musi się kontaktować z organami ścigania.

– Nie mam zamiaru cię szokować – wzruszyła ramionami. – Pod jego adresem mój szef wypowiedział takie słowa: „Lepiej trzymać wszystkich w niepewności. Te trzy miesiące to minimum. A nabór trzeba wstrzymać, to chyba jasne. Spotykamy się normalnie, w czerwonym nosie!”.

Zbliżyliśmy się do wiatraka na kilkadziesiąt metrów. Teren wokół ogrodzony był drutem kolczastym. Dostrzegłem elektronicznie otwieraną bramę z widoczną kamerą monitoringu. Forteca. Krzyżujące się ramiona młyna połączone były wielką czerwoną nakrętką przypominającą dziób samolotu.

– To wszystko i jeszcze więcej – zatoczyła ręką koło – należy do mecenasa. Kiedyś odkupił bepański wiatrak i grunt od gminy za symboliczne pieniądze. Miał tu powstać skansen.

– Skansen otoczony drutem kolczastym?

– Miał powstać. Na razie nie powstał.

– To już wszystko? – spytałem w drodze powrotnej.

Skinęła głową.

– Przypomniało mi się coś jeszcze, choć nie sądzę, aby dla ciebie miało to jakiegokolwiek znaczenie...

– Może jednak?

– Mecenas jest wielkim miłośnikiem filmów Barei. Czasami mówi frazami z filmowych dialogów. Jego ulubiony film to *Brunet wieczorową porą*.

– Dzięki, Donato.

Żegnając się, żałowałam, że to jednak nie dla mnie włożyła kwiecistą sukienkę.

Przeszukiwanie archiwów lokalnego portalu w celu znalezienia informacji związanych ze „sprawą haitańską” nic nie dało. Zamiast materiału źródłowego natykałem się na odnośnik „strona przeniesiona do archiwum”. A do archiwum wstępu nie było. Instrukcja mecenasa została wykonana w stu procentach. Czy na pewno w stu? Portal był zapewne klonem papierowej wersji tygodnika. Należało tylko odnaleźć odpowiedni numer. Gdzie? W bibliotece, oczywiście! Na hasło „sprawa haitańska” uprzejma bibliotekarka popatrzyła na mnie uważnie, po czym zawężyła okres poszukiwań do jednego roku. Przejrzenie pięćdziesięciu wydań tygodnika zajęło trochę czasu, ale skończyło się sukcesem. Mecenas Kurczybut i jego protegowany w najgorszych snach nie mogli przypuszczać, że ktoś zacznie szperać w numerach „Tygodnika Pogodnej” sprzed kilkunastu lat.

Początek artykułu odwoływał się książki Riccardo Orizio *Zaginione białe plemona*. Książka znajdowała się w bibliotecznych zbiorach, więc aby lepiej zrozumieć problematykę, zacząłem od lektury interesującego mnie fragmentu.

Wyłonił się z niej zaskakujący obraz.

W roku 1794 na wyspie Hispaniola, znanej pod nazwą kolonii San Domingo, zniesiono niewolnictwo. Plantatorzy zakwestionowali decyzję, co wywołało bunt czarnych niewolników. Oczekiwali oni wsparcia Paryża, najwyraźniej jednak hasło „wolność, równość, niepodległość” nie miało zastosowania aż tak daleko (na rzecz innych: kawa, indygo, bawełna, kakao, cukier...). Na początku XIX wieku generał Leclerc, szwagier Napoleona, wysłał na kolonię San Domingo ponadczterotysięczną armię polskich żołnierzy, jak zawsze w historii wiernych dewizie „za wolność naszą i waszą”. Czyją w istocie, miało się okazać dopiero na miejscu.

Pakt między nimi [Polakami] a Napoleonem był jasny: jeśli pomogą Francji przywrócić w kolonii San Domingo niewolnictwo, Bonaparte zwróci niepodległość Polsce, która w owym czasie znajdowała się pod podwójnym zaborem Prus i Rosji. A jednak w tym tropikalnym słońcu owi jasnoskórzy patrioci w staroświeckich mundurach walczyli przeciwko wolności czarnych, marząc o odzyskaniu wolności przez swój własny naród [...]. Prędko uświadomili sobie, że sytuacja niewolników jest aż nazbyt bliska ich własnej. Czarni haitańscy niewolnicy walczyli w imię tych samych narodowych ideałów, które wyznawali Polacy: szło im o wypędzenie najeźdźcy, o wolność i niepodległość.

Fragment z listu podporucznika Weygalla do Józefa Nowickiego z 19 marca 1803 roku:

Tutaj wojnę prowadzi się w zupełnie inny sposób niż w Europie. W ciągu ostatnich trzech dni sprowadziliśmy sobie z kolonii hiszpańskich 200 psów do walki, jutro mamy nadzieję otrzymać 400 dalszych [...]. Brytany ćwiczą całymi dniami na żywych Murzynach, których rozszarpują bez litości.

Legenda głosi, że les polonais zdezerterowali z rewolucyjnego wojska francuskiego i przeszli na służbę Jeana-Jacques'a Dessalines'a, czarnego Bonaparte'go, pomagając mu stworzyć pierwszą w historii czarną republikę. Od tamtej pory Polacy (ciekawe ilu z nich przeżyło?) już nigdy nie opuścili wyspy. I – jak twierdzą niektórzy – zapomniani, w dalszym ciągu żyją w niedostępnych górach na północy kraju.

Autor książki odnalazł jedno z takich miejsc:

Ta zapomniana mała Polska na Haiti leży na szczycie łysej i wyludnionej góry i jest wioską jak wiele innych [...]. W Cazale nie ma elektryczności, nie ma telefonu, nie ma bieżącej wody, nie ma przychodni, nie ma samochodów, nie ma szkoły, a teraz i kościół zniknął. Nie ma sklepików, nie ma rynku.

Jedna z dziewczynek, ciemna, ale o niebieskich oczach i słowiańskich rysach, zadaje pytanie nieśmiało, jednak tak zadane, jak gdyby było ono jedynym sensownym pytaniem, z jakim można się zwrócić do pary białych przybyłych do ich odizolowanego świata z niezmiernie daleka.

– Jesteście z Polski?

Kiedy odpowiadamy, że jesteśmy z Europy, lecz że z Polską nie mamy nic wspólnego, rozczarowanie nie zna granic [...]. Kiedyś ktoś w Warszawie przypomniał sobie o tych braciach nazwanych przez Papę Docę „białymi Murzynami” i kierowany ciekawością cudem dotarł aż do Cazale. To jednak nie pociągnęło za sobą większej pomocy, lecz od tamtej pory nie gaśnie nadzieja, że pewnego dnia ni stąd, ni zowąd jakiś hojny biały człowiek – i nie może to być nikt inny, jak tylko Polak – przybędzie, by wydobyć ich z nędzy.

Telegraficzny skrót nie oddaje ponad dwóch wieków historii polskich osadników na Haiti, rzuca jedynie światło na genezę zjawiska i jego dzisiejsze konsekwencje. Jak się okazało, jedna z nich dotarła aż do Pogodnej. Zabrałem się za artykuł odnaleziony w tygodniku. Oto jego najważniejsze punkty.

W połowie lat dziewięćdziesiątych na fali repatriacyjnego entuzjazmu pięcioosobowa grupa radnych udała się na Haiti, aby zorientować się, jakie są możliwości powrotu do ojczyzny choć kilku rodzin polskich Haitańczyków, potomków żołnierzy armii napoleońskiej.

Nie wiadomo dokładnie, kto był pomysłodawcą, ale społeczności spodobał się iście mickiewiczowski rozmach idei. Ktoś przywołał nawet postać z *Pana Tadeusza* – dziada zebrzącego, który „dawny był legijonista” i po powrocie z San Domingo „dziwniejsze od baśni historyje gadał”.

W budżecie gminy przeznaczono środki na przyjęcie od pięciu do dziesięciu rodzin haitańskich, jednak pod warunkiem, że wszyscy ich członkowie będą mogli się wykazać przewagą polskiej krwi. Społecznicy potraktowali sprawę poważnie, szykując dla przyjezdnych program edukacyjno-integracyjny. To miała być wizytówka Pogodnej. Danina złożona na ołtarzu odzyskanej wolności. Kto bardziej jak nie oni zasłużyli na powrót do ojczyzny? Komu jak nie im należy się zapłata za wieki bezinteresownej miłości do utraconego (k)raju?

Tym bardziej zaskakujące było, że po powrocie delegacji pomysł upadł. Najczęściej powtarzane i odmieniane na wszystkie przypadki zastrzeżenie brzmiało: różnice kulturowe. Dziennikarz, regularny rozmówca mecenasa, wyrażał to tak: „Miało się okazać, że polscy Haitańczycy nie są Europejczykami w tradycyjnym rozumieniu, a różnice kulturowe i mentalnościowe uniemożliwiają realizację projektu”. Jednogłośnie przyjęto uchwałę o rezygnacji z niego. Środki budżetowe zapisane na program repatriacji i integracji Haitańczyków postanowiono przeznaczyć na fundusz wzmacniania wałów przeciwpowodziowych.

W uczynionym mniejszym drukiem dopisku pod tekstem głównym można było wyczytać, że radna Stanisława C. wstrzymała się od głosu.

Znajomy brzęczyk zadzwonił mi w głowie.

Sprawa była logiczna tylko na pierwszy rzut oka. Czy naprawdę trzeba było jechać aż tak daleko, aby przekonać się, że Polacy, którzy opuścili kontynent ponad dwa wieki temu, „nie są Europejczykami w tradycyjnym rozumieniu”? Dlaczego mecenas sądził, że nie jest to dobry moment, aby sprawę przypominać? Dlaczego pragnął ją wręcz zakopać wkrótce po tym, jak zabito i zakopano chłopaka o ksywce Cygan?

– Czy twoja ciotka nie ma czasem na imię Stanisława? – zapytałem Blue, gdy wieczorem zjawiła się w klubie.

– Nie czasem, tylko przeważnie. A nawet zawsze.

– I nosi twoje nazwisko?

– Jako siostra mojego ojca ma do tego prawo?

– Blue, czy ona była kiedyś radną?

– Owszem – dziewczyna była zbyt zaskoczona, aby manipulować przy odpowiedzi. –

A jak na to wpadłeś?

– Informacja prasowa związana z tak zwaną sprawą haitańską. „Radna Stanisława C. wstrzymała się od głosu” – zacytowałem.

– No, to teraz już wiesz prawie wszystko.

– Chcesz powiedzieć, że... te sprawy się łączą?

– Nie, nie chciałam o tym mówić, ale sam to wygrzebałeś. Ciotka uległa wypadkowi wkrótce po tamtych wydarzeniach. I, moim zdaniem, to nie był przypadek.

– I wiedząc to wszystko, nie próbowałaś czegoś zrobić?

Spojrzała na mnie ze znanym mi już politowaniem.

– Moje słowo się tu nie liczy. Kto poważnie potraktuje niebieskiego ptaka anarchii? Nawet jeśli miałabym jakieś poszlaki, to ich wartość jest żadna.

– Gdybyś miała... A masz?

– Mam kopię listu, który ciotka napisała zaraz po tamtej sesji.

– Pokażesz mi ją kiedyś?

Spojrzała na mnie lodowato.

– Nie wiem. Zastanowię się. Ale posłuchaj jeszcze. Choroba mojej ciotki została spowodowana wypadkiem. Najpierw samochód rozjechał jej psa, a gdy zrozpaczona rzuciła się w kierunku bandziora za kółkiem, ten ją umyślnie potrącił. Wyłądowała w szpitalu. Na krótko stanęła jeszcze na własnych nogach, ale uszkodzenie kręgosłupa postępowało. Ostatecznie przykuło ją do łóżka.

– Ile dostał?

– Kto? Czego? – zdziwiła się.

– No, ten kierowca.

– Nic nie dostał. Nigdy go nie złapali.

– Jak to? – teraz ja się zdziwiłem. – Nie było świadków? Monitoringu?

– O, skąd wiesz? – zakpiła. – Ciotka próbowała składać zeznania. I wiesz, czym się to skończyło? Wlepili jej mandat za wyprowadzanie psa bez smyczy i kagańca.

– Taki groźny?

– Przestań sobie robić jaja. Mały jamnik. Najpocziwszy pod słońcem. Kaganiec był mu potrzebny mniej niż większości ludzi. A bez smyczy biegł wyjątkowo, bo się wyrwał, kiedy

jakiś koleś odpalił na ulicy petardę. Ten skurwiel za kierownicą spokojnie mógł go ominąć. Ale mu się nie chciało. Jezdnia jego, rozumiesz? Po trzeciej rozmowie ciotka dała spokój. Świadców zdarzenia nie było, a raczej nikt się nie zgłosił. A zapisy z monitoringu dziwnym trafem zniknęły.

– Przyznali ciotce choć rentę inwalidzką?

– Chyba żartujesz! Dostaje swoją ciężko wypracowaną emeryturę. Całe szczęście, że zgreby przysyłają kasę. Inaczej wszyscy pomarlibyśmy z głodu.

Milczałem, co miałem powiedzieć?

– Myślisz, że nie chciałabym pracować? – obruszyła się, błędnie interpretując brak reakcji. – Już nie mam siły szukać roboty. A wyjechać nie mogę. Dlaczego szczył jeszcze nie wyjechał, nie wiem. A właściwie nie chcę wiedzieć. Ja jestem jak ten ptak niebieski. Nie sieję, nie orzę, a zbieram. A jak zabraknie niebieskiego ziarna, to...

Nie dokończyła. Nawet nie pytałem, czy rozważała kiedyś umieszczenie ciotki pod opieką sióstr zakonnych. Pewnie rozważała. Ale była zbyt dumna, aby się przyznać, i zbyt szlachetna, aby to zrobić.

Brak informacji o postępach w śledztwie dotyczącym spalenia suzuki dał mi niezły pretekst do odwiedzenia komendy powiatowej.

Zanim zdążyłem powiedzieć „dzień dobry”, oficer dyżurny przejął inicjatywę.

– O co chodzi?

– O spalenia mojego auta. Są jakieś wieści?

– Wezwanie było?

– Nie, sam się wezwałem. Niepokoi mnie tak długa cisza w prostej sprawie.

– Prostej? Nie ma prostych spraw. A jakby była potrzeba, sami byśmy wezwali.

Konsekwentnie stosował wobec mnie formę bezosobową.

– Nie ma wezwania, nie ma sprawy – zatwierdził słuszność wcześniejszej tezy.

– Nie ma samochodu, ale sprawa jest – pozwoliłem sobie się nie zgodzić.

Dyżurny spojrział z irytacją znad bułki z salcesonem.

– Dziwny człowiek. Tu nikt nie przychodzi z własnej woli, a ten się pcha między drzwi.

– Chciałbym rozmawiać z komendantem – przerwałem jego ontologiczny wywód.

– Panie! – nareszcie dostrzegł we mnie człowieka, a może tylko obywatela. – Gdyby komendant chciał rozmawiać z każdym, kto o to prosi... – zawiesił głos, w nadziei, że sam dośpiewam resztę. Pewnie nie spodziewał się, że zrobię to na głos.

– ...nie miały nic innego do roboty. Jasne. Ale mówił pan, że nikt tu nie przychodzi z własnej woli. Faktycznie – rozejrzałem się teatralnie – tłumów jakoś nie widać.

Psułem mu humor, a to mogło popsuć apetyt.

– Dostanie wezwanie, to się stawi! – zaczął ostrzej niż poprzednio.

– A jak się nie stawi?

– To sami doprowadzimy!

– A jak się będzie stawiać?

Dyżurny wstał, mając na końcu języka – oprócz salcesonu – nieprzyjazną wiązkę. Nie chciałem go wyprowadzić z równowagi.

– Idę już, idę. A komendantowi proszę przekazać, że chciałem z nim porozmawiać o naborze.

Gdy byłem jedną nogą za drzwiami budynku, dyżurny mnie dogonił. Na ramieniu poczułem ciężką rękę.

– Komendant chce z panem rozmawiać.

Gabinet znajdował się na pierwszym piętrze. Pokój przyjemnie mnie zaskoczył, jak zresztą cały komisariat: przestronny, czysty i funkcjonalny. Zadawał kłam o tragicznej sytuacji materialnej stróżów porządku. Komenda Wojewódzka w Krakowicach miałyby czego pozazdrościć, pomyślałem nie bez domieszki satysfakcji. Nadkomisarzowi Bielskiemu nie życzyłem wszystkiego, co najgorsze, ale bez przesady – niech się męczy w swoim ponurym gabinecie. Ściany udekorowane były krzyżem, godłem państwowym i portretem aktualnego komendanta głównego. Pod oknem stało obszerne biurko, za którym siedział postawny mężczyzna w cywilnym ubraniu. Czas uwolnił jego czaszkę od nadmiaru włosów. Boczne i tylne bujności próbowały zatuszować niedostatki, podobnie jak płowe wąsy o zdecydowanie sarmackim rysie. Komendant był bez wątpienia osobą zapracowaną. Pochłonięty dziobaniem kartki za pomocą długopisu, nawet nie zauważył mego wejścia. Nie chciałem przeszkadzać, ale gdy milcząca audyencja zaczęła mi się dłużyć, usiadłem naprzeciw gospodarza. Jego reakcja była błyskawiczna i zaskakująca. Zerwał się na równe nogi.

– Kto pozwolił siadać?! – zgromił mnie spojrzeniem i trzęsącymi się wąsami.

– O, przepraszam! – wstałem również. – Widziałem, że jest pan zajęty, nie chciałem przeszkadzać.

Komendant zreflektował się nieco.

– Tak mnie obywatel zaskoczył – rzucił pojednawczo i usiadł z fatygą. – Jeśli obywatel już jest, proszę mówić.

Nie zaproponował mi krzesła.

– Interesują mnie najnowsze ustalenia w sprawie mojego samochodu.

– A co, dyżurny obywatelowi nie mówił? – obwisłe powieki uniosły się nieco w geście zdumienia. – Na razie nic nie mamy i obawiam się, że tak pozostanie. Dowody spłonęły doszczętnie wraz z autem.

– Czy ktoś chociaż zabezpieczył miejsce przestępstwa?

– Panie, żartujesz pan? Wraku będziemy pilnować? Mam nadzieję, że już go uprzątnięto. Okolica u nas ładna, przyroda jest naszym zielonym złotem, nie ma powodu jej zaśmiecać.

Zapadła cisza. Komendant ponownie pochylił się nad kartką papieru.

– A ta druga sprawa?

– Druga sprawa? – zdziwił się. – A konkretnie?

– Chodzi o nabór...

Liczyłem, że po tym słowie ciałem naczelnika wstrząśnie co najmniej dreszcz, ale byłem w błędzie. Nadal grał w statki.

– Niech pan siada – odezwał się po chwili. – Chciałby pan zaciągnąć się w nasze szeregi? – zapytał od niechcienia.

– A czy widzi mnie pan w roli policjanta? – odpowiedziałem pytaniem, lokując się na krześle.

Naczelnik nawet na mnie nie spojrzał.

– Z każdego da się coś wycisnąć – odparł enigmatycznie.

– Nie, nie chodzi mi o policję. Wręcz przeciwnie, o to drugie... – Wstępowałem na śliską kładkę nad przepaścią.

– Ma pan na myśli bezpieczeństwo, to jest, chciałem powiedzieć, ABW? Adresy się panu pomyliły.

– Nie, nie chodzi mi o żadne struktury państwowe...
Tym razem długopis naczelnika minimalnie drgnął. A1, trafiony, niezatopiony.

– Teraz to już w ogóle nie wiem, o czym pan mówi.

– A, takie tam, ludzie gadają...

Dawałem do zrozumienia, że dysponuję wiedzą, której w istocie nie posiadałem. Na odpowiedź nie musiałem długo czekać.

– Pan Bartosz Czarnoleski, muzyk, prawda? W Pogodnej jest pan tymczasowo, jak rozumiem? Czy mogę wiedzieć, kiedy planuje pan wyjazd?

– A czy mogę wiedzieć, po co panu ta wiedza?

– Policja służy społeczeństwu. Aby skutecznie bronić obywateli, musi dysponować elementarnymi informacjami. Gdy ich brak, łatwiej o wypadek.

Ostrzeżenie? A2, trafiony, niezatopiony.

– Swoją drogą, po osobie z takimi dokonaniem spodziewałem się trochę więcej instynktu samozachowawczego.

– Byłby pan uprzejmy rozwinąć tę myśl?

– Błyskotliwe śledztwo, dzięki któremu ujęto tego świra, też zresztą muzyka. Plejada się nazywał, czyż nie?

Tego świra, też zresztą muzyka. Zapamiętałem.

– Coś tam jeszcze było z mafią i europoślami? Tyle że nikogo nie złapano za rękę, tak było?

– Nie wiem. Nie interesuję się już tym.

– A co stanowi aktualny temat pańskich, że tak powiem, dociekań? – uśmiechnął się przyjacielsko.

– Mój spalony samochód. Oprócz tego nic – odparłem, siłąc się na szczerość. – Jestem człowiekiem bez zainteresowań. Dlatego szukam jakiegoś punktu zaczepienia.

– To niech pan szuka, tylko pod właściwym adresem.

Audycja była skończona. Wstałem z krzesła. Naczelnik był teraz w doskonałym nastroju. Nie popełnił fałszywego kroku, dając zarazem do zrozumienia, że ma mnie na widelcu. Kiedy byłem już przy drzwiach, odezwał się ponownie.

– Zdaje się, że była jeszcze sprawa mienia narodowego, które czasowo znalazło się w żydowskich rękach? – cedził teraz słowa z przyjemnością. – I tego, jak mu tam, Mojszelewicza?

Aha, tu cię boli! A3, trafiony niezatopiony.

– Michałowicza – wyjaśniłem krótko.

– Żegnaj. – Podszedł do dobrze wytłumionych drzwi i otworzył je szeroko. Byłem pewien, że doda „i niech pan na siebie uważa”, ale znów byłem w błędzie. Komendant powiedział mi już wszystko, co zamierzał.

Z redaktorem naczelnym „Tygodnika Pogodnej”, drugim najczęstszym rozmówcą mecenasa Kurczybuta, nie miałem zamiaru się spotykać. Nie było mi to do niczego potrzebne. Dalece bardziej frapująca była kwestia tego, jaki rodzaj powiązań łączy głównych aktorów pogodniejskiej sceny. I gdzie szukać ich śladów.

Przez kolejne dni rozważałem następny krok, ale dochodziłem zawsze do samego wniosku: bez sprzymierzeńców sobie nie poradzę. Najbardziej pożądana (słowo naturalnie z nią sprzęgnięte) była Donata. To ona miała dostęp do centrali. Cóż, kiedy wyraźnie dała do zrozumienia, że ma dość.

Prawdopodobnie był to ostatni, ze wszech miar właściwy moment na wyjazd. Ale byłem jak pasażer awaryjnie lądującego samolotu. Wiedząc, że powinienem opuścić go jak najszybciej, próbowałem wydobyć coś z luku bagażowego. Zwłoka kosztująca życie.

Teraz, w tej chwili rozciągniętej w wieczność, ze wszystkich sił żałuję, że nie wyjechałem. Czy wtedy, czy przedtem. Żałuję chwili, w której palec dotknął na mapie czarnego punktu oznaczonego napisem Pogodna.

W środku nocy obudził mnie telefon. Dzwoniła Donata, roztrzęsiona tak, że spodziewałem się bardzo dramatycznych wieści.

– Wyobraź sobie, że to bydlę, ten cham, próbował mnie zgwałcić! – szlochała do słuchawki.

– Donatko, nie chcę wchodzić w twoje intymne sprawy, ale skoro sama dzwonisz... Kogo masz na myśli?

– Adama. To znaczy syna mecenasa. Przyjechał wieczorem z Warszawki, zaokrętował od razu w Pogodnej dla Bogaczy, dosiadł się. Gadaliśmy, tańczyliśmy, trochę piliśmy. Znamy się tyle lat... W końcu zaproponował, że mnie odprowadzi. Zgodziłam się, ale tylko na to, rozumiesz? Uparł się, że wejdzie na górę, nalał sobie szklankę żubrówki i zaczął się do mnie dobierać. Opierałam się tak, że w końcu mnie uderzył. Wtedy potraktowałam go gazem i wypchnęłam za drzwi.

– I bardzo dobrze zrobiłaś!

– Ale to nie był wcale koniec! Kwadrans później zadzwonił ojczulek, z pretensjami, co zrobiłam jego synkowi. Jakbyś tego synka zobaczył... O głowę wyższy od ciebie, a połowę życia chyba spędza na siłowni. „Coś ty taka niedotykańska!” – wrzeszczał. „Pół miasta cię odwiedza, a takiemu supergościowi i do tego synowi szefa odmawiasz?” Tak na mnie krzyczał, że się popłakałam i nie byłam w stanie odpowiedzieć. I wiesz co powiedział na koniec? „Nie gryź ręki, która cię karmi, żeby cię nie musiała uderzyć”.

Muszę powiedzieć, że mój instynktowny brak sympatii do mecenasa spadł poniżej czerwonej kreski.

– Przyjdź do mnie – poprosiła Donata. – Przyjdziesz?

– Jeśli obiecasz, że nie potraktujesz mnie gazem.

– Ciebie nie, nigdy! – uśmiechnęła się przez łyzy.

– Wpadnę. Na herbatę.

- Dla nich lojalność obowiązuje tylko w jedną stronę. Od teraz ze mną będzie podobnie – mówiła Donata godzinę później. W dużych kubkach zaparzyła jakąś ziołową mieszankę.
 - A zastanowiłaś się, jak potraktują brak lojalności?
- Machnęła ręką.
 - Odejdę, jak tylko się da. Skończyło się. Mężczyźni mają różne przywary, ale na takie aroganckie bucowstwo jestem szczególnie uczulona. Niedoczekanie ich.
 - W jej oczach widziałem determinację.
 - Czy bywaś czasem w gabinecie mecenasa?
 - Oczywiście! Przecież jestem jego sekretarką.
 - To było pytanie na rozgrzewkę. Następne jest dużo ważniejsze. Czy w gabinecie znajduje się sejf?
 - Tak. Na widocznym miejscu. Goście pewnie się zastanawiają, co ich bardziej przytłacza: osobowość mecenasa czy czarna bryła kasy pancерnej.
 - Czy zauważyłaś kiedyś, że sejf był otwarty?
 - Tym razem zdecydowanie zaprzeczyła.
 - Czy widzisz jakiejkolwiek możliwości dostania się do środka?
 - Ja ich nie widzę. Masz jakiś pomysł?
 - A gdyby zainstalować kamerę i lustro... – Z każdym słowem traciłem wiarę w to, co mówię. To była robota dla zawodowców.
 - Wiesz, czym by się to mogło dla mnie skończyć? – spytała dziewczyna.
 - Domyślałem się.

W końcu nawiedziła mnie myśl odkrywczą. Przecież nadkomisarz Robert Bielski nie był jedynym znanym mi pracownikiem Komendy Wojewódzkiej w Krakowicach. W trakcie moich – nazwijmy to – śledztw poznałem jeszcze czterech. No, powiedzmy trzech: jeden sam się wyeliminował jako informator mafii. Z dwójką byłem nawet po imieniu. Sławek, asystent z laboratorium ekspertyz kryminalnych, zasypał mnie pytaniami:

- Bartek?! Nie wierzę własnym uszom! Co się z tobą dzieje? Przepadłeś jak kamień w wodę. Nawet Bielski pytał ostatnio o ciebie.

Coś takiego, nawet Bielski, no, no!

Opanowałem wściekłość, a z jeszcze większym trudem powstrzymałem pytanie cisnące się na usta. Przecież gdyby Bielski naprawdę chciał mnie odnaleźć, zrobiłby to bez problemu. Tylko po co?

- Dzwonię w konkretnej sprawie – przerwałem niechciany wątek. – Czy dałoby się... czy dałbyś radę sprawdzić dla mnie dwa nazwiska?

Zapadła cisza.

- No wiesz, ja w zasadzie pracuję w laboratorium.

- Ale dostęp do baz danych masz, prawda?

- Niby tak.

- Sławek, nie żądam od ciebie rzeczy niemożliwych. Suche, podstawowe fakty, bez analizy. Pomożesz?

- Znowu wchodzisz w buty policji? – zapytał bez entuzjazmu.

– Chodzę w swoich, zniszczonych jak cholera. W tym przypadku rzecz idzie o coś dokładnie odwrotnego. W czyich butach chodzi pewien policjant.

– I w dodatku policjant... – brak entuzjazmu w głosie Sławka przybierał formę nagany.

– Nie tylko – dodałem szybko dla złagodzenia. – Ten drugi jest dziennikarzem.

Znowu zapadła cisza.

– Dobrze, spróbuję – usłyszałem w końcu. – Suche fakty, bez analizy.

Bezwiednie skinąłem głową i podałem oba nazwiska.

Oddzwonił nazajutrz.

– Posłuchaj, Bartek. Obaj ci panowie pozytywnie przeszli weryfikację zawodową.

– Czy wszyscy policjanci i dziennikarze byli jej poddani?

– Tak można z grubsza powiedzieć. W większości przypadków była to formalność.

– Czyli bywały też wątpliwości?

– Oczywiście. Po zmianach ustrojowych z policji odeszło ponad trzy tysiące osób. Oczywiście ci, których etykę zawodową podawano w wątpliwość, mogli się bronić. I to jest element wspólny dla obu panów. Oskarżycielem w ich sprawach był ten sam człowiek.

– Mecenas Andrzej Kurczybut?!

– Skąd wiesz?!

– Który udowodnił ich naganną przeszłość?

– Wręcz przeciwnie. Atakował, ale tak nieudolnie, że obaj przekroczyli zawodowy rubikon.

– Dzięki, stary, bardzo mi pomogłeś.

– Nie ma sprawy, tylko wiesz, nie pakuj się w nic. Zostaw to nam, jakby co.

– Bądź spokojny.

– A co mam powiedzieć Bielskiemu?

– Żeby wyremontował gabinet – zakończyłem.

Kadłuby obu okrętów dryfujących po spokojnych wodach Pogodnej zostały nadwyrężone. Tylko co z tego? Zdobyłem zaledwie szczątkowe informacje, które prawdopodobnie kiedyś były tajemnicą poliszynela, a dziś mało kogo obchodziły. Założmy, że sejf w gabinecie Kurczybuta kryje dokumenty niewygodne czy wręcz kompromitujące komendanta i redaktora. Słynna czarna skrzynka, teczka do piątej potęgi, dzięki której mecenas trzyma w szachu tak przyjaciół, jak i wrogów. Ale w tym psychologicznym teatrze jest pewna inscenizacyjna słabość. Zbyt jednoznaczne usytuowanie puszek Pandory. Czy sam mecenas nie otwierałby sejfu z obsesyjną refrenicznością, sprawdzając, czy przypadkiem coś z niego nie ubyło?

Czasu coraz mniej. Jeśli chcę swoją opowieść dociągnąć do końca, muszę się spieszyć.

Nie miałem szansy dostać się do sejfu. Jeśli jednak przeprowadzona w myślach kalkulacja była prawidłowa, musiało istnieć inne miejsce ukrycia dowodów. Chronione nie pancerną stalą, a zagadką. Łamigłówką nie do ruszenia.

Tworzony przeze mnie szkic mecenasa ciągle się uszczegóławiał. Oprócz cech niepokojących pojawiały się kreski farsowe. Ta miłość do Barei. Do poduszki obejrzałem *Bruneta wieczorową porą*. Kryminał z tezą, że za morderstwo zawsze odpowiedzialny jest człowiek w czerwonym kapeluszu.

Film nastroił moje sny na konkretną nutę. W to, co teraz powiem, trudno uwierzyć. Ale przecież nie kłamałbym w sytuacji tak krańcowej. Otóż rozwiązanie zagadki przyszło do mnie we śnie.

Szedłem blisko mecenasa, który głośno się zaśmiewając, rażno kroczył przed siebie. „Nikt tego nie znajdzie”, grzmiał ni stąd, ni zowąd. „Mam to w nosie!”, rozpogadzał się. „Nie mają o tym pojęcia! Nikt tego nie znajdzie! Mam to w nosie!”, brzmiała niekończąca się litania. Głowę mecenasa zdołała czerwona mycka albo piuska, którą od czasu do czasu podtrzymywał, aby nie porwał jej potęgujący się wiatr. Mecenasa mnie nie widział, choć podążyłem ledwie dwa kroki za nim. Znałem to miejsce. Łąka, woda, na niebie przecucie świtu. Pora, w której nie śpią kochankowie i złodzieje. I mleczarze. I tramwajarze. I... Zaraz, nie o tym przecież.

Naraz przed nami wyrasta pośepna, czarna na tle budzącego się nieba budowla. Wiatrak! To jego skrzydła są źródłem nasilających się podmuchów. Mecenasa przenika drut kolczasty, który mnie zatrzymuje. Z odległości widzę, jak przystawia do ściany wysoką drabinę. Wdrapuje się, zdejmując z głowy czerwoną czapkę i nakłada ją tam, gdzie krzyżują się skrzydła. Otwieram oczy. We śnie rozumiałem. Na jawie nic nie jest oczywiste.

Po wieczornej próbie zadałem moim muzycznym partnerom pytanie:

– Który z was ma doświadczenie z nożycami do cięcia drutu?

Mikołaj milczał, a Jakub odpowiedział z filozoficzną logiką:

– Nożyce to nożyce. Jak przyciśniesz, utną.

Potencjalny sprzymierzeniec wyłonił się sam.

– Chciałbym jakoś dostać się do wiatraka.

– To dziwne miejsce – zgodził się Jakub. – Nikt tam się nie pcha nieproszony.

– A ja mam zamiar, bo na zaproszenie nie liczę.

– Taki z ciebie kozak?

Nigdy nie opowiadałem chłopakom ani nikomu w Pogodnej – z wyjątkiem Cygana – o moich wcześniejszych doświadczeniach. W porównaniu z nimi przecięcie drutu kolczastego i wizyta w opuszczonym młynie nie były szczególnym szaleństwem.

– Kozak, nie-kozak. Potrzebuję współnika, który stanie na czatach i ostrzeże jakby co. A co jest nie tak z Czerwonym Nosem?

– Ponure miejsce. Jego skrzydła są nieruchome, nie mieli ziarna, ale jakieś duchy go nawiedzają.

– Jakub, zaskakujesz mnie. Jakie duchy? Ty wierzysz w duchy?

– Historia kołem się toczy. Duchy przeszłości przybierają niekiedy współczesną maskę albo i mordę. Ja tylko wiem, że ludzie trzymają się od tego miejsca z daleka. Nie dostrzegasz problemu, to go nie ma.

– A mi się wydaje, że jak nie dostrzegasz problemu, to problem w końcu dostrzeże ciebie.

– Tak czy inaczej, idę z tobą. Tylko powiedz kiedy. No i musimy zorganizować te nożyce...

– Kupisz?

– Kupię.

– Zrób to jutro. Do młyna wybierzemy się w nocy.

– Czy wiesz, gdzie mecenas trzyma klucz od wiatraka?

Zapytałem o to Donatę raczej pro forma, nie liczyłem na pozytywną reakcję. Jej słowa zaskoczyły mnie.

– U siebie w gabinecie. Wisi w kasetce z innymi kluczami. Wielki, na kółku. Nie sposób pomylić.

– A sposób pożyczyć? Na parę godzin. Nocnych godzin – dodałem prędko, widząc przerażenie na twarzy dziewczyny.

Milczała. Toczyła wewnętrzną walkę.

– Zrobię to – powiedziała w końcu z determinacją na twarzy. – Sami sobie winni.

Następny dzień zaczął się od nieoczekiwanej wizyty. O mało nie zdębiałem, widząc Blue w progu mojego mieszkania.

– Słyszałam od chłopaków, że interesujesz się Czerwonym Nosem.

Blue wyjęła z torby kartkę papieru złożoną na czworo.

– To jest kopia listu, o którym ci mówiłam. Ciotka poprosiła mnie wtedy o zrobienie odbitek. Stare czasy, jeszcze przed ekspansją internetu. Pracownik punktu ksero zrobił pięć kopii. Cztery ciotka wysłała do tygodników ogólnopolskich.

– A oryginał?

– Też wysłała, do lokalnej gazety. A to zostało.

Rozłożyła kartkę, na której odbity był pisany ręcznie list.

Szanowna Redakcjo,

chciałam poinformować o przebiegu sesji Rady Miasta i Gminy Pogodna z dnia 27 października bieżącego roku. Według informacji z państwa gazety „Uchwałę o rezygnacji z projektu repatriacji Polonii haitańskiej” przyjęto jednogłośnie przy jednym głosie wstrzymującym się. To nieprawda, bo ja byłam przeciw.

Od początku uważałam, że pomysł jest trudny do realizacji, ale kiedy go przyjęliśmy, zapaliłam się, podobnie jak wielu mieszkańców Pogodnej. Całym sercem towarzyszyłam delegatom, którzy wyjechali na Haiti.

Po powrocie, w trakcie wspomnianej już sesji Rady Miasta członkowie delegacji informowali, że dotarli jedynie do stolicy kraju, Port-au-Prince. Uprzedzeni o trudnościach związanych z przedostaniem się do położonej w górach wioski Cazale zrezygnowali z dalszej wyprawy, a więc i z właściwego celu podróży. Zamiast tego odwiedzali, cytując: „Inne wyspy karaibskie, aby przekonać się, czy i tam są jakieś ślady polskich legionistów”. To „przekonywanie się” trwało trzy tygodnie.

W zdumienie wprawił mnie jeden z argumentów mających tłumaczyć radnych z grzechu zaniechania.

„Już w stolicy Haiti okazało się, że zdecydowaną większość mieszkańców wyspy stanowią Murzyni i Mulaci. Prawdopodobieństwo, że potomkowie legionistów zachowali rasową czystość, było wręcz znikome”.

Tu moje pytanie: czy planując repatriację radni sądzili, że polska armia lądująca na Haiti składała się także z kobiet?! Czy nie byli w stanie przewidzieć, że dwa wieki związków z ludnością tubylczą nie pozostały bez wpływu na ich wygląd?

Moim zdaniem delegacja sprzeniewierzyła publiczne pieniądze. Ale w sukurs przyszedł przewodniczący Rady, mecenas Andrzej Kurczybut, który stwierdził, że od początku miał poważne wątpliwości co do pomysłu. Według niego wysłane ponad dwa wieki temu na wyspę oddziały polskie nie wypełniły swojego zadania. Zamiast utopić we krwi bunt czarnych niewolników, opowiedziały się po ich stronie, przyczyniając się do powstania pierwszej w historii republiki Murzynów.

Oto odtworzony z pamięci fragment jego wystąpienia:

„Reimplantacja na grunt rodzinny tych, którzy opowiedzieli się przeciw białej rasie, a wchodząc w związki z ludnością tubylczą, dodatkowo ją zdegenerowały, jest nie tylko ideologicznie niesłuszna, ale i potencjalnie niebezpieczna. Cieszę się, że delegacja doszła do podobnej konkluzji. Tym samym znikają też możliwości propagowania obcych wyznań, w szczególności diabelskiego kultu voodoo, który przywędrował na Haiti z Dahomeju, samego serca czarnej Afryki. Wyobraźmy sobie kapłana czarnego kultu, który w naszym mieście, pośród naszych obywateli wprowadza nowe porządki. Laleczki tych, którzy nie chcą się podporządkować, będzie nakłuwiał aż do skutku. Co z tego może wyniknąć dla naszego, miasta, gminy i ojczyzny? Bóg raczy wiedzieć!“. Tym enigmatycznym zakończeniem zasiał w umysłach członków Rady wizję niesprecyzowanej katastrofy kulturowej i narodowej.

Gdy zasugerowałam, że członkowie Rady biorący udział w wycieczce na Karaiby – tak, w wycieczce, bo misja to z pewnością nie była – powinni pokryć jej koszty z własnej kieszeni, zostałam zakrzyczana. Moim zdaniem pomiędzy przewodniczącym a delegacją doszło do układu jeszcze przed wyjazdem. On nie będzie stawał ich pomysłowi na drodze, oni powrócą z wyprawy ze słusznymi wnioskami. Egzotyczna wycieczka za państwowe pieniądze. Pakt owocujący pełną lojalnością i współpracą w Radzie Miejskiej.

Środki budżetowe przeznaczone pierwotnie na projekt repatriacji Polonii haitańskiej mają zostać przeniesione na fundusz odbudowy i wzmocnienia wałów przeciwpowodziowych. Jestem radną od dwóch lat i do tej pory nie słyszałam, aby ktoś interesował się stanem wałów. „Taka komisja zostanie powołana w odpowiednim czasie“, usłyszałam. Na uwagę, że ostatni raz rzeka wylała u nas w roku tysiąc dziewięćset szóstym, zalewając jedynie parę hektarów łąk, usłyszałam, że nie posiadam instynktu społecznego. Moim zdaniem również te środki zostaną sprzeniewierzone.

Powtórzę jeszcze raz: wyprawa piątki delegatów Rady Miejskiej do Cazale była w istocie zastoną dymną do spędzenia wakacji na Karaibach. Repatriacja polskich rodzin z Haiti nigdy nie była rozpatrywana na poważnie. Pod treścią podjętej w podobnych okolicznościach uchwały – utajnioną ze względu na „ważny interes społeczny” – nie tylko nie mogłam się podpisać, ale jestem jej przeciwna. Jedyń formą sprzeciwu, jaki mi pozostał, jest napisanie i wysłanie tego listu.

Radna Stanisława C.

Byłem wstrząśnięty.

– Jeśli to jest prawda, to dlaczego w taki sposób zareagowała tylko twoja ciotka?

– Moim zdaniem deal polityczny. Obrachunek potencjalnych zysków i strat. Poza tym... Tego nie wiem na pewno, ale ciotka mówiła, że pieniądze, które miały pójść na renowację wałów, podzielili między siebie.

– A ilu ludzi wchodzi w skład rady?

– Z tego, co pamiętam, dwudziestu jeden.

– Dwudziestu jeden?! I wszyscy dali sobą manipulować?!

– Być może ktoś inny za podobną argumentację zostałby wyśmiany. Ale mecenas Kurczybut to nie jest „ktos inny”. To człowiek zaufania publicznego, a wśród wybrzonych klientów – również osobistego. Kto mu się przeciwstawi?

– A jednak ktoś się znalazł. Twoja dzielna ciotka. Kim była z zawodu?

– Polonistką.

– I nikt spośród byłych uczniów nie zainteresował się jej wypadkiem?!

– Interesowali się. Ale pomóc nie mogli. Masz rację, to dzielna kobieta. Dzięki niej przejrzałam na oczy.

– A jaka była reakcja adresatów?

– Żadna. Nikt nie odpowiedział, nikt listu nie opublikował. Myślę, że potraktowali to jak wynurzenia starej wariatki. Kto rozsądny uwierzy w urzędnika państwowego, świętego mecenasa, który straszy współobywateli kultem voodoo?

A może listy nigdy nie opuściły Pogodnej? Zainteresowani mogli się spodziewać, że radna Stanisława C. nie poprzestanie na wysłaniu ich do lokalnej prasy. A skontrolowanie korespondencji wychodzącej z miasta z pewnością nie przekraczało możliwości tych wpływowych ludzi.

– To jest bardzo poważnie obciążający dokument. Powinnaś go jakoś zabezpieczyć.

Blue skrzywiła się.

– To tylko kopia. Powinnaś ją spalić. Ten list zniszczył jej życie. Nie chcę, aby zniszczył i moje. Jesteś pierwszym, któremu go pokazałam. I pewnie ostatnim. Teraz wiesz, w co się pakujesz. I... uważaj, bo to niebezpieczna gra.

– A Cygan?

– Jego takie rzeczy nie interesowały. On był artystą.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– No dobrze... Ciągle nie wiem, jaki jest związek listu z Czerwonym Nosem.

– Jak tam wejdiesz, to się przekonasz.

Blue nie zamierzyła przeciągać wizyty.

Ale to nie był koniec odwiedzin. Po południu wpadł Mikołaj. Przyniósł ze sobą teczkę z prasowymi wycinkami.

– Tych rzeczy nie znajdziesz w necie. Może w bibliotece, ale musiałybyś wiedzieć, czego szukasz.

„To samo z linkami do pozostałych zdarzeń. Tak, wykasuj je, dobrze słyszałeś!”, przypomniały mi się słowa mecenasa, które znałem dzięki Donacie.

– A skąd ty je masz?

– Taka mała pasja kolekcjonerska. Pogodne obrazki z życia Pogodnej. Aż do dzisiaj nie sądziłem, że je komuś pokażę...

Wycinki pochodziły z kolumny o pojemnym tytule *Z życia gminy*. Pierwsza wzmianka miała charakter socjologiczny, odnosiła się do afgańskiego lekarza, który nie zrobił

w Pogodnej kariery z powodu... braku pacjentów (cóż za zdrowa społeczność!). Kolejna opisywała akcję miejscowej policji: w podmiejskim hotelu zatrzymano czeczeńskie małżeństwo z dwójką dzieci. Rodzina przebywała na terenie gminy bez ważnych dokumentów. Policjanci przekazali uchodźców w ręce Straży Granicznej. Następnym zdarzeniem było ogolenie na tyso i wycięcie żyłką na czaszce czarnoskórego zawodnika z ligi okręgowej (KP Prętpol Niski Gród) symbolu, który kształtem przypominał kwiat lub dziecięcy wiatraczek. Kolejny wycinek dotyczył kebabowego baru. Po trzykrotnej dewastacji lokalu, którego – pewnie w obawie o własne zdrowie – prawie nikt nie odwiedzał, właściciele (Algierczyk i Tunezyjczyk) dali za wygraną i wyjechali z miasta. Ostatnia wzmianka dotyczyła Wietnamczyka, który chciał otworzyć sklep z tanią odzieżą. Dziennikarz nie informował, jakim poddano go szykanom, ograniczając się do stwierdzenia, że któregoś dnia po prostu zniknął.

Artykuły miały charakter czysto informacyjny, pozbawiony emocji. Sprawców żadnej ze spraw nie wykryto, podejrzewano o nie przyjezdnych. Lokalna policja szybko umarzała śledztwa, jako „niezwiązane ze środowiskiem lokalnym”.

– Skoro to nikt stąd, to dlaczego artykuły i linki poznikały?

– Bo a nuż znajdzie się jakiś dociekliwy redaktorzyzna ze stolicy i zacznie drążyć. A jak zacznie drążyć, to nie wiadomo, co wydrąży.

– A ty? Co o tym sądzisz?

– To jest jak biały szkwał.

– Co takiego?

– Tu, w okolicy są piękne jeziora. Żegluję trochę na omedze, jak będziesz kiedyś miał ochotę, zapraszam. Biały szkwał to gwałtowny wiatr, niszczycielska siła, która spada z nieba bez ostrzeżenia i zniką bez śladu. Uważaj, żeby i ciebie nie powalił.

– Ale co ma wspólnego z tym? – dotknąłem ręką wycinków.

– Biały szkwał, o którym mówię, jest napędzany energią z młyna. Złą energią. Niech cię nie zmyli, że jego skrzydła się nie kręcą. Dlatego chciałem cię ostrzec. Nie wiesz w co wchodzisz.

– Człowieku, parę tygodni temu zginął Cygan! Co się ma jeszcze wydarzyć, abyście przejrzeni na oczy? Wiesz chociaż, co to za symbol? – Wskazałem na znak wycięty na głowie nieszczęsnego piłkarza.

– Jesteś na jego tropie.



ROZDZIAŁ IV

CZERWONY NOS

Spośród wielu nieposiadanych przeze mnie umiejętności na czoło wysuwa się – choć lepiej powiedzieć wysuwała się – umiejętność odwiedzania właściwych miejsc we właściwych porach. Dlaczego teraz z tym wyjeżdżam? Już wkrótce się okaże.

Późnym wieczorem Donata wręczyła mi klucz.

– Tylko oddaj na czas, bo będziesz mnie miał na sumieniu.

Uspokoilem ją, choć po rozmowach mijającego dnia sam byłem daleki od spokoju. Postanowiliśmy z Jakubem zrobić rundkę wokół zasieków. A nuż gdzieś znajduje się dziura? Zamiast niej odkryliśmy coś znacznie gorszego. Posesji strzegły dwa olbrzymie amstafy, które zwiertrzywszy obecność intruzów, kierowały pod naszym adresem gardłowe ostrzeżenia. Psy były na długich łańcuchach. Każdy patrolował swój fragment łąki. Dotarcie do młyna z jego boków było niemożliwe. Tył konstrukcji opierał się o staw; wejście od tej strony wymagałoby akrobatycznych umiejętności. Jedyna droga wiodła pasem ziemi niczyjej o szerokości góra jednego metra. Gdyby łańcuchy były choć trochę dłuższe, psy rzuciłyby się sobie do gardeł.

Kojarzycie flippersy? Ich potężne szafy do dzisiaj zalegają w niejednej oldskulowej knajpie. Otóż, ja byłem biłą, a dwa szalejące amstafy – kłapkami mającymi nie dopuścić, aby biła wpadła do środka. Na chybił trafił wytypowaliśmy miejsce wejścia. Jakub rzeczywiście sprawnie obchodził się z nożycami. Prześliznąłem się szybko pod drutem i poczułem na twarzy oddech dwóch rozjuszonych bestii. Szybko odnalazłem właściwą ścieżkę.

Każdy atak z lewej minimalnie przepychał mnie w prawo. I odwrotnie. Musiałem zachować zimną krew. Szedłem wolniutko, błogosławiąc ścieżynkę wąską na kilkadziesiąt centymetrów, która była moja i tylko moja. Psy rozwścieczone do granic możliwości jazgotały koło moich kolan. Co chwila któryś wycofywał się i brał rozbieg, aby zaatakować z jeszcze większą furią. Mocarne szczęki kłapały w powietrzu, a ja bałem się myśleć, co będzie, jeśli któryś z łańcuchów pęknie. Nie potrafię powiedzieć, jak długo trwał ten koszmar. Dla mnie – całą wieczność.

Gdy w końcu cały i zdrowy stanąłem przed drzwiami do młyna, moje ciało było zredrgane do ostatniego włókna. Trzęsącymi się rękami wyciągnąłem z kieszeni potężny klucz, wręczony mi godzinę temu przez Donatę.

Przy świetle latarki nie większej od długopisu – mocniejszego światła nie chciałem używać – pokonałem trzeszczące schodki, by po chwili znaleźć się w centralnym pomieszczeniu młyna. Środek, miejsce dawnych żaren, zajmował okrągły stół. O leżący na nim młyński kamień oparta była litografia przedstawiająca... dziecięcy wiatraczek?! Już go widziałem. Wycięty żyłką na głowie czarnoskórego piłkarza. Wyglądał jak skrzyżowane duże litery B. Wystarczyła odrobina wyobraźni, by zaczął się z nich wyłaniać obraz falbaniastej swastyki. Zacząłem przeglądać półki na ścianach wiatraka, zalegające je pudełka i teczki. Świstki, rachunki, broszury. Odkrywca literatura w stylu: „Dlaczego białe geny są lepsze?”, „Co grozi Białej Rasie?”. Podobnej proveniencji filmy na kasetach i DVD. Płyty z bardzo białą muzyką. Szklanki i kilka butelek jamajskiego (a może haitańskiego?) rumu... Skąd tu ten trunek czarnych niewolników?!

Po stronie przeciwnej od wejścia znajdowała się obniżona wnęka ze stolikiem otoczonym fotelami. Promień latarki musnął przedmiot stojący na stoliku. Była to miniatura wiatraka, wierna replika Czerwonego Nosa. Przyjrzałem się bliżej. Od miniatury wiódł kabel. Palce trafiły na przełącznik. Mini Czerwony Nos był lampą. Pstryk. Mini Czerwony Nos był lampą nastrojową. Emitował czerwone światło, ale to nie wszystko. Jego skrzydła zaczęły się wolno obracać. W odróżnieniu od oryginału nie były martwe. Majstersztyk.

No, dość zabawy. Wyłączyłem lampę z zamiarem odstawienia jej na miejsce. Ale, ten czerwony nos... Przyjrzałem się bliżej. Dał się odkręcić. Był po prostu ozdobną nakrętką. Chcąc ją ponownie zamontować, przechyliłem lampę, a wtedy ze środka wysunął się i upadł na ziemię jakiś przedmiot. Metalowa tuleja. Mimo jej braku udało mi się złożyć lampę z powrotem. Wykorzystując obrys kurzu ustawiłem ją precyzyjnie na starym miejscu. Tuleja trafiła do kieszeni. Nie miałem teraz czasu na jej badanie.

Zadzwoiłem do Jakuba.

- No, co tam, wszystko w porządku?
- W porządku, tylko strasznie się grzebiesz.
- Już wychodzę. A diabły tasmańskie?
- Trochę spokojniejsze, ale ciągle się kręcą.
- No to weź je jakoś odciągnij!
- Niby jak? Kiełbasy ze sobą nie mam...

Na wolny jak w koszmarnym śnie przemasz między amstafami nie miałem już cierpliwości. Zapamiętaną ścieżką popędziłem w kierunku dziury. Cerbery były czujne. Ruszyły w pościg, zanim pokonałem połowę dystansu. Przyspieszyłem. Dwa metry przed celem rzuciłem się niczym bramkarz w dolne okienko. Teraz miało się potwierdzić, że przecięcie drutów nie nastąpiło w optymalnym miejscu. O ile prawy napastnik zastopował wystarczająco daleko i tylko miotał się wściekle, o tyle lewy z powodzeniem wykorzystał naddatek łańcucha. Poczulem rozrywający ból stopy, potem zęby zatapiające się w łydce. Próbowąłem się wyczołgać, ale uścisk żelaznego imadła nie zelżał ani trochę. Mało tego,

wydawało mi się, że pies wciąga mnie na swój teren. Jego towarzysz nie posiadał się z niecierpliwości, aby dołączyć do aktu destrukcji intruza.

– Wyciągnij mnie stąd! – wrzasnąłem do Jakuba. Lepiej było stracić kawałek nogi niż całe życie.

Perkusista położył się na ziemi, zacisnął dłonie na moich przegubach i ciągnął ile sił. Prawą nogą próbowałem odepchnąć napastnika. Jeden z ciosów trafił go w brodę, bo pies zaskomlał i puścił. Przeleciałem na drugą stronę siatki. Jakub usiłował podnieść nożyce, ale zrobił to tak niefortunnie, że pies chwycił go za rękę. Tym razem ja rzuciłem się na pomoc. Zdezorientowany amstaf puścił dłoń nieszczęsnego perkusisty. Gdy odchodziliśmy, szarpał się jeszcze i skomlał. Musiał skaleczyć się w pysk.

Ręka Jakuba nie wyglądała dobrze. Podobnie jak moja noga, rozorana i poszarpana, jakby pastwił się nad nią niewprawy rzeźnik. Właściwie nie wiem, jak doszedłem do Donaty.

Na nasz widok dziewczyna zrobiła wielkie oczy. Nie spodziewała się dodatkowego gościa, ale ręka Jakuba wymagała opatrzenia. Nocna wizyta w szpitalu dwóch koleśki pogryzionych przez psa szybko mogła się stać publiczną tajemnicą. Pielęgniarskie umiejętności Donaty były tu jak znalazł. Dopiero w łazience, widząc swoje odbicie w lustrze, pojąłem, że Donatę wystraszył nie tylko stan naszych kończyn. Zmagania z psem w wąskiej bramce drutu kolczastego zaowocowały dziesiątkami zadrapań. Moja skóra i garderoba wyglądały, jakbym trenował skoki w malinowy chruśniak.

Kiedy wróciłem do pokoju, Donata opatrywała rękę Jakuba. Nie wiem, czy to, co mówiła, miało złagodzić ból, ale biorąc pod uwagę minę perkusisty, działało jak najlepszy anestetyk. Jeszcze chwila, a zamknąłby oczy i zaczął mruczeć jak kot. Chciałem usunąć się w kąt, zostawiając im wymianę uśmiechów i słodkich wyobrażeń na deser tego dość gorzkiego dnia.

Ale dziewczyna zdecydowała inaczej.

– Teraz twoja kolej – zwróciła się do mnie. Sprawnie zdezynfekowała mniejsze i większe rany, po czym każdemu z nas wbiła w pośladek strzykawkę ze szczepionką antytężcową. Prawdziwa samarytanka.

– Stare zapasy i dobre nawyki – wyjaśniła. – Miejmy nadzieję, że psy były szczepione na wściekliznę. No dobrze, dzisiaj macie u mnie azyl. Ale jutro bezwzględnie do szpitala. Nie wiem, jak wy, ale ja się muszę położyć. Aż mnie ciarki przechodzą na myśl, że zaśpię i nie zdążę odłożyć na czas tego cholernego klucza. I nie chcę wyglądać jak zombie. Wystarczy, że wy sprawiacie wrażenie uciekinierów z prosektorium.

Przesadzała, ale nie aż tak. Musieliśmy wyglądać dość marnie.

Donata rzuciła na podłogę parę poduszek i koce.

– Zorganizujcie się jakoś. Aha, i łyknijcie to – podała nam różnokolorowe piguły. – Na sen i na ból – wyjaśniła. – Lepiej to przespać. Jutro będzie lepiej – pocieszyła nas i zniknęła w sypialni.

Była niesamowita. Im dłużej ją znałem, tym bardziej lubiłem. Jakub coś sobie podśpiewywał. Choć, jako się rzekło, nie wyglądał najlepiej, sprawiał wrażenie zadowolonego.

– A tak w ogóle, to jak nabawiłeś się kontuzji palca? – spytał ni stąd, ni zowąd.

– Wypadek, mówiłem ci.

– Nieco bardziej szczegółowo?
– No... spadłem z helikoptera. Dasz wiarę?
– Nie – odparł krótko. – Ale brzmi nieźle. Choć jednak głupio – podsumował. Po chwili już pochrapywał.

I ja marzyłem, aby we śnie zapomnieć o bólu. Przedtem jednak musiałem coś sprawdzić. Tuleja była wykonana ze stali. Nie do zmiążdżenia, nie do spalenia. Dokonałem na niej kilku prostych działań. Wcisnąłem górną część tak, jakbym wcisnął guzik długopisu: wierzchnia warstwa metalu przesunęła się, ukazując trzy rowki. Skrytka była zrobiona na wymiar. W każdym rowku znajdował się idealnie pasujący czip. Wyjąłem pierwszy i drżącymi rękami spróbowałem włożyć go do czytnika w ajfonie. Pasował! Plik nosił nazwę Statut Bractwa Białego.

Bractwo Białe. Dziecięcy wiatraczek. BB. Zacząłem wrywkową lekturę.

My, niżej podpisani, świadomi zagrożeń, przed jakimi staje Biały Człowiek, i obowiązków, jakie na niego nakłada historia, powołujemy do życia Bractwo Białe.

Podstawowym zadaniem Bractwa jest dbanie o kulturowe dziedzictwo i rasową czystość miasta powiatowego Pogodna.

Formy działalności będą polegały na oddziaływaniu psychologicznym oraz akcjach bezpośrednich.

Było tego więcej. W podobnym stylu. Skrolowałem dokument, bo nie czułem się na siłach, by czytać go w całości.

Najwyższym organem Bractwa Białego jest Zebranie Zarządu. Skład Zarządu jest trzyosobowy i niezmienny, a jego decyzje ostateczne. Naczelnik posiada głos decydujący. Założyciele zobowiązują się do wzajemnej lojalności i pomocy wynikającej ze statusowej działalności Bractwa.

Dalej, nie mam czasu na te brednie...

Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności przeprowadzany będzie nabór gwardzistów. Kandydaci poddawani będą testom. Wszystkie akcje należy dokumentować za pomocą urządzeń elektronicznych, tak aby ideowa chwiejność któregoś z gwardzistów nie narażała Bractwa na represje ze strony rządzącego reżimu.

Gdy nadarzą się ku temu sprzyjające warunki, Bractwo powinno wyłaniać politycznych reprezentantów, którzy w parlamencie krajowym podejmą działania na rzecz zmiany konstytucji. Zapisane w niej prawa winny dotyczyć wyłącznie rdzennych mieszkańców naszego kraju. Podobne działania należy przenieść na teren Parlamentu Europejskiego.

Dość tych bzdur! To był materiał dla prokuratora. I psychiatry. Kiedyś chłopcy bawili się w Indian, teraz starcy fundują sobie zabawę w Białych. I to wszystko na poważnie?! Czułem się absurdalnie. Cała ta mowa-trawa była raczej godnym pożałowania bełkotem niż zapisem myśli i idei dorosłych mężczyzn.

Ale czy to aż takie dziwne? W mediach do dziś nietrudno znaleźć treści, które mniej lub bardziej otwarcie sączą przekaz o rzekomej wyższości białej rasy.

Na drugim czipie zgromadzone były dane dotyczące minionej działalności komendanta miejskiego oraz redaktora naczelnego. Powiększyłem dokumenty do skali, w której ich odczytanie nie stanowiło problemu. Były to zeznania, protokoły, oświadczenia, fragmenty raportów. Działalność obu panów dziwnie się uzupełniała. Jeśli policjant brał udział w brutalnych pacyfikacjach manifestacji studenckich czy szykanach wobec aresztowanych, dziennikarz zawsze potępiał... jego ofiary. W stanie wojennym byli lojalnymi i zaangażowanymi funkcjonariuszami reżimu. W połowie lat osiemdziesiątych obaj zostali członkami Stowarzyszenia Patriotycznego Grunwald, flirtującego z najbardziej betonową frakcją PZPR-u.

Na pierwszy rzut oka i jeden, i drugi powinni mieć spore problemy, aby w wolnej Polsce wykonywać swój zawód. Prawdopodobnie jednak komisje weryfikacyjne nie ujrzały świadczących przeciwko nim dokumentów. Zadbął o to... oskarżyciel. Jak tego dokonał? Ba, był w końcu wziętym adwokatem. Dowód znajdujący się w rękach tego, kto nie chce go wykorzystać, to dowód zneutralizowany. Mecenasa Kurczybut przyczynił się do uratowania skóry obu luminarzy poprzedniego systemu. Z sympatii? Zapewne. Łączyła ich przeszłość. Ale i przyszłość. Wspólne sympatie i antypatie. Podobny program i zbliżona wizja lokalnej i globalnej szczęśliwości oraz środków, jakie do niej prowadzą. Ale to mecenas rozdawał karty. „Naczelnik posiada głos decydujący”. To on rządził w księstwie Pogodno. Miał partnerów w ręku. Albo raczej w... nosie. W Czerwonym Nosie.

Trzeci czip zawierał dane gwardzistów pozyskiwanych do szeregów Bractwa Białego. Po raz pierwszy poznałem imiona i nazwiska moich tęczowych rycerzy. Gwardia liczyła dwunastu pretorianów. Na karcie znajdowały się nagrania wideo z rytuałów inicjacji, wzorowanych chyba na cholernym Ku Klux Klanie (pochodnie, maski z otworami na oczy), oraz zapisy tak zwanych akcji bezpośrednich. Na ekraniku mojego telefonu rozgrywały się zdarzenia, o których czytałem dziś w wycinkach prasowych przyniesionych przez Mikołaja.

Sprawców podpalenia wietnamskiego sklepu (flaszka z benzyną), podobnie jak wyjątkowo brutalnej akcji pojmania, ogolenia i okaleczenia czarnoskórego sportowca, nie znałem. Musieli pochodzić z wcześniejszych naborów. A może dla bezpieczeństwa przeszli w stan uśpienia. Natomiast wśród ekipy trzykrotnie demolującej malutki lokal kebabu rozpoznałem Trygława i Głownoga. I chyba jeszcze kogoś, ale nie byłem pewien.

Ostatni plik na karcie numer trzy otwierałem z obawą. W pełni uzasadnioną. Był to wstrząsający w swej beznamietności zapis przeniesienia zabitego Cygana na cmentarz i zasypania go w grobie. Na tę szczególną akcję mecenas wysłał liczniejszą ekipę. Łatwiej mieć w ręku ludzi uwikłanych w morderstwo.

Zażyłem środki nasenne. Ale sen nie przychodził. Coś świdrowało mój mózg, wiedziałem, że to coś nie pozwoli mi zasnąć, choćbym łyknął całe opakowanie prochów. Po pierwsze, dlaczego zabrakło nagrania przedstawiającego zabójstwo Cygana? Coś się nie zgadzało w kryminalnej buchalterii. Był jeszcze inny powód mojego niepokoju. Zacząłem ponownie oglądać nagrania z ostatniej karty. Kilkakrotnie przeanalizowałem akcję demolowania kebabu. W końcu nie miałem już wątpliwości. W ekipie rozbijającej knajpkę kijami bejsbolowymi znajdowała się Blue.

Wiedziałem, gdzie Donata trzyma żubrówkę. Nalałem do szklanki i wypilem solidnego łyka. Za oknem świtało...

Gdy otwarłem oczy, było całkiem jasno. Gdzie jestem?! Próbowałem połączyć w całość fragmenty wczorajszej nocy. Przed oczami przewijały się zdjęcia, dokumenty i filmy zgromadzone na czipach.

Dlaczego spałem tak długo? Dlaczego wypełzałem ze snu jak z czarnej dziury?

Środki przeciwbólowe, szczepionka tężca, prochy nasenne, a wszystko popite żubrówką. Sam sobie zgotowałem ten los. Donaty i Jakuba nie było. Na stoliku znalazłem zaadresowany do mnie liścik.

Spałeś tak głęboko, że żal było cię budzić. Klucz oddałam na czas, ale w południe wściekły mecenas wyrzucił mnie z pracy. Nie szkodzi. I tak chciałam odejść. Zabrałam Jakuba na badania do szpitala. Ty też powinieneś się zgłosić! Korzystaj z lodówki i spiżarki. Jeśli chcesz wyjść, po prostu zatrzasknij drzwi, Donata.

Nie byłem głodny. Pragnienie gubiło się w pulsującym bólu, który przenikał mnie od stóp do głowy. Kurczybut wyrzucił Donatę. Czy odkrył jej związek z wizytą nieproszonych gości w Czerwonym Nosie? Donata i Jakub nie zdawali sobie sprawy z sytuacji. Przecież nie zdążyłem podzielić się wszystkimi odkryciami. A były to odkrycia wyjątkowo niesympatyczne. Kręciło mi się w głowie. Siadłem na krzesło, ale poczułem, że znowu zasnę, jakimś odurzającym, malarycznym snem. Uparcie wracało nagranie tęczowych młodzieńców wyjmujących ciało Cygana ze śmietnika i przenoszących je do grobu jak worek kartofli. Od łez zapiekły mnie oczy. I zaraz potem obraz Blue. Nie zbuntowanego anioła, ale dziewczyny w dresie i z bejsbolem w ręku, walącej w szyby i stoły z nie mniejszą pasją niż jej kompani. Blue gniewna w deszczu sypiącego się szkła. Ogarnęła mnie nagła wściekłość. Chciałem jej wygarnąć. Ale nie miałem nawet jej numeru.

– Halo? – odezwał się przyciszony głos Mikołaja.

– Cześć, mówi Bartek. Znalazłem coś ciekawego, coś, co dokładnie koresponduje z twoimi wycinkami. Ale to potem. Na razie potrzebuję numer Blue.

– Nie potrzebujesz – zaprzeczył. – Umarła jej ciotka. Właśnie jestem u Blue. Chcesz ją do telefonu?

– Tak! Albo... nie – zrezygnowałem po chwili wahania. – Nie teraz. Rozmawiałeś z Jakubem?

– Owszem. Mówił, żeby cię na razie zostawić w spokoju.

– A co u niego?

– Wszystko w porządku.

W porządku?! Mikołaj nie wie o ręce Jakuba, Jakub odradza Mikołajowi kontakt z mną. Blue jest umoczona z Bractwem Białym, które pośrednio oskarżała o wypadek ciotki. Zdjął mnie nagły lęk. Co teraz?

Pokuśtykałem do domu. Zabarykadowałem drzwi jak przed inwazją obcych. Resztki z lodówki pokrzepiły nieco nadwątlone siły. Opadłem na zakłęste łóżko. Zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, był już wieczór.

Mój wczorajszy trud w zasadzie poszedł na marne. Owszem, znalazłem materiał niewygodny dla wielu osób, ale nie otrzymałem odpowiedzi na najważniejsze pytanie: kto i dlaczego zabił Cygana? A prawdę mówiąc, tylko to mnie interesowało. W starciu z całym brudem i nonsensem świata i tak byłem bez szans. Tylko dla wyjaśnienia tej jednej sprawy zostałem w Pogodnej. Mecenas wplątał w sprawę morderstwa swoich żołnierzy, aby kogoś chronić. Kogo? W trakcie rewizji w Czerwonym Nosie musiałem coś przeczytać. Narzędzie zbrodni. Czy istniało bezpieczniejsze miejsce do ukrycia sztyletu? Gdybym go znalazł, miałbym w ręku dowód, być może demaskujący mordercę odciskami palców. Na myśl o kolejnej wizycie w młynie aż przeszły mnie ciarki. Ponownie spotkać się z amstafami? Nigdy! Istniała jednak inna droga. Jeszcze trochę wysiłku. Jeśli i to nic nie da, poddam się. W kieszeni miałem pół opakowania środków przeciwbólowych, przytomnie zabranych od Donaty. Zażyłem maksymalną porcję.

Woda w kanale prowadzącym do stawu na tyłach młyna była ciepła i spokojna. Płynąłem najciszej jak się dało, zwalniając w miarę zbliżania się do celu. Na tle zachodzącego nieba ujrzałem zarys wiatraka, z tej perspektywy jakby większego i bardziej posępnego. Spłoszone kaczkę zaalarmowały psy, które zaczęły ujadać, ale ucichły po chwili. Ostatnie kilka metrów przepłynąłem pod wodą. Z ulgą uczepiłem się szorstkich krawędzi. Co teraz? Trud dostania się do środka został mi jednak oszczędzony. Przez szpary w deskach dostrzegłem światło. Ktoś był w młynie. Aby osiągnąć szczeliny, musiałem podciągnąć się na rękach.

W fotelu siedział mecenas. Jego rozmówca był odwrócony do mnie plecami. Przyłożyłem ucho, ale nie byłem w stanie wyłowić słów. Dopiero gdy serce przestało walić jak młotem, dobiegły mnie fragmenty rozmowy.

– Wydawało się, że gdy Cygana zabraknie, klub nie przetrwa. – To był głos mecenasa.

– To przez tego... nowego – stwierdził rozmówca numer dwa.

– Tak, ale on prędzej czy później wyjedzie. A młody Lędźwień zostanie. Kto by pomyślał, że ten nowobogacki śmieciuch jest taki uparty? To jest głowa, którą trzeba odciąć.

Zapadła cisza. Ramiona powoli omdlewały. Odpocząłem chwilę i podciągnąłem się raz jeszcze. Wydawało mi się, że mecenas wręcza coś rozmówcy, a przecucie mówiło mi, co to jest. W tym momencie zdrętwiałe palce ześliznęły się po deskach. Rozległ się plusk, dla mnie głośny, dla ludzi w młynie, miałem nadzieję, niesłyszalny. Tak czy inaczej, należało sphywać. Bezgłośnie żabką dopłynąłem do granicy ogrodzenia i jeszcze sto metrów dalej, dla pewności.

Mokry, trzęsąc się z zimna szedłem ulicą. Miałem wrażenie, że przechodnie przyglądają mi się badawczo. Wytykają wzrokiem. Badają i oskarżają. Czułem się prawie winny. Wbrew logice i ostrzeżeniom wlałem w gniazdo żmij.

I po co mu to było?

Wdrapując się na piętro kamienicy, wyczuwałem spojrzenia z judasy i szpar w drzwiach. Czułem oddechy i słyszałem szepty. Prawie odbierałem myśli. A może to tylko serce waliło, jakby miało się rozlecieć na kawałki...

Drzwi od mieszkania były uchylone. Wnętrze nosiło ślady wizyty nieproszonych gości. Skali zniszczeń nie byłem w stanie ocenić. Nie było światła. Ktoś poprzecinał kable. Czy coś zginęło? A CO mi mogło zginąć? Co aż tak cennego posiadałem, aby skusić złodziei? Jedyny cenny (dla mnie) przedmiot spotkał inny los. Na szubienicznym węźle dyndała moja altówka. Inscenizator zadbał nawet o przewrócenie stołka. Ostatnie ostrzeżenie. Nie mogłem się dłużej łudzić. Mecenas i jego poplecznicy wiedzieli, że zbieram informacje na ich temat.

Udało mi się zdjąć instrument z szubienicy. Z tulei wyjąłem czipy i przez efy wcisnąłem je do jego wnętrza. Sprawy nabrały takiego przyspieszenia, że kolejny akt dramatu mógł się rozegrać za chwilę, teraz. Wykręciłem numer Donaty. Komórka padła przed pierwszym sygnałem. W pośpiechu założyłem suche ubranie. Czy naprawdę mam czas użalać się nad sobą, gdy kolejna zbrodnia wisi w powietrzu?

Pracujący gorączkowo mózg dokonywał symulacji. Wieczorem planowaliśmy granie w Blue Note. Mieli być muzycy, goście, któraś z dziewczyn za barem i z pewnością Staszek. Ale koncertu nie będzie. Muzycy nie przyjdą. Mikołaj, bo jest z Blue. Blue, bo umarła jej ciotka. Jakub, bo ma niesprawną rękę. O sobie nie mówię. Goście, nawet jeśli się zjawią, posiedzą chwilę i oedjdą zawiedzeni. Lędzwień wcześniej zwolni dziewczynę.

– Idź, Tamara, do domu – powie. – Ja pozamykam.

Być może dojrzewa w nim myśl, aby zrobić to po raz ostatni. Nawet nie wie, jak bliski jest prawdy. Ręka przodków już czai się w mroku. Ten wieczór jest stworzony do zadania ciosu. Musiałem z siebie jeszcze coś wykrzesać. Czuję, że wielkimi krokami zbliża się finał. Nie mogło mnie na nim zabraknąć. Co sił gnałem przez Pogodną. Gnałem? Człapałem noga za nogą. Słabo oświetlone ulice przyglądały mi się litościwie.

W mieście panował spokój. I cisza. Łagodna Pogodna.

Dowlokłem się do Hydraulicznej. Potem do Niebiańskiej. Okolice klubu, zazwyczaj ożywione w koncertowe wieczory, dziś były martwe. Doszedłem do końca ulicy, wstąpiłem na dziedziniec. Ani jednego auta. Budynek tonął w mroku. Dla pewności nacisnąłem klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Jeszcze nic się nie stało. Jeszcze nie dziś. Jeszcze jest czas...

To był pierwszy moment dnia, w którym poczułem ulgę. Zarazem ostatnia jaśniejsza myśl mojego życia.

Wyczułem jakiś ruch. Na wysokości kontenera okrążyły mnie trzy osoby z zasłoniętymi twarzami.

Mecenas musiał dowiedzieć się o dziurze w ogrodzeniu. Zaalarmowany hałasem dostrzegł człowieka odpływającego od młyna. Na wszelki wypadek sprawdził lampę i odkrył brak tulei... Czy Donata mnie oszukała? Może mecenas wcale nie wyrzucił jej z pracy? Dlaczego nie pytała, co znalazłem w Czerwonym Nosie? Czyżby nie było to dla niej niespodzianką? Przecież jako sekretarka Kurczybuta mogła tam bywać. A może grała na dwie strony, czekając na to, która weźmie górę? Od powrotu do domu byłem na celowniku. Pogodna czekała już tylko na dogodny moment do egzekucji. Nie mogłem jej tego bardziej ułatwić. Na własne życzenie zamieniłem się miejscami z menedżerem klubu Bieska Nuta.

– Mogłeś wyjechać, ale nie starczyło ci wyobraźni. Może to i lepiej. Zamiast kolejnego miejscowego zginie obcy. A po obcym krótsza żałoba.

Pierwszy raz widziałem go na żywo. On na żywo widział mnie po raz ostatni. Adam Kurczybut był rzeczywiście potężnie zbudowanym mężczyzną. Nie dziwiłem się, że samodzielnie wrzucił Cygana do kontenera na śmieci. Dziś miało być inaczej. Zamiast przed katem, stanąłem przed plutonem egzekucyjnym. Ale cios miała zadać konkretna ręka. Uzbrojona w sztylet. Rozpoznałem ostrze, które śmiertelnie ugodziło Cygana.

Prócz życia nie miałem nic do stracenia. Rzuciłem się na prześladowcę z zamiarem wytrącenia mu broni.

– Uważaj, szybki jest! – dałbym głowę, że to głos Kolorowego. Sądziłem, że przynajmniej między nami rachunki są wyrównane. Dwóch osiłków złapało mnie za ręce.

Trzeci ścisnął szyję. Poczułem jak ostrze wbija mi się pod żebro.

– Coś ty, ochujał?! – krzyknął Kolorowy. – Miałeś go tylko postraszyć!

– Zamknij się! – warknął Adam. – To obcy! Z obcymi są same problemy!

Szarpnąłem się z całych sił, tych, które mi jeszcze zostały, ale wynik był mizerny.

Obraz zaczął tracić ostrość.

Wlekli mnie dokądś...

Szum i ciemność...

Ocknąłem się. Na swoje nieszczęście. Zewsząd otaczają mnie zwały ziemi, a ja nie mam siły, aby je odgarnąć. Ziemia pode mną, ziemia koło mnie, nade mną i we mnie, w moich ustach, w moim oddechu, w moim prawie ostatnim tchnieniu. Ziścił się najgorszy koszmar. Zostałem żywcem pogrzebany.

I nie licz mi dobra, które uczyniłem, jeśli uczyniłem. Ale o złu, które uczyniłem, zapomnij...

Naraz myśl lekka jak mgła uniosła mnie w rejony odległe.

Widziałem w życiu miejsca pięknym zapierające dech w piersiach. Albo tak ubogie, że budziły przerażenie. I podziwiałem czarne kobiety, rzeźbione mocniejszym słońcem. Syciłem oczy kobietami Wschodu, delikatnymi jak kwiat jaśminu, a zmysłowymi jak jego zapach. Zachwyciałem się tymi o skórze mlecznoczekoladowej, z oczami jak węgle. I wyobrażałem sobie, jak wspaniale byłoby, gdyby te kobiety chciały rodzić dzieci mówiące w naszym języku. Gdyby nasz kraj był dla nich na tyle przyjazny, aby uznały go za swój dom. I z żalem pomyślałem, że już tego nie doczekam...

Słyszę głosy pełne niepokoju. Ziemia nade mną zaczyna drżeć. Czarny muślin ulatuje, a Niebieska Zjawa podaje mi rękę i przeciąga na stronę życia.



ROZDZIAŁ V

ZIELONY LIŚĆ

Przeżyłem. Dzięki Blue. Wysłanniczką okazała się ta, która najbardziej wątpiła. Kolorowy nie wytrzymał i natychmiast po całym zdarzeniu poleciał do niej z opowieścią. To on przyprowadził ją na cmentarz, do grobu, w którym kiedyś zakopano Cygana, a teraz pogrzebano mnie. To on pomógł mi odkopać. Ale ona wyciągnęła z zaświatów.

Może więc nie trzeba się bać? Może w końcu każdy dostrzeże taką rękę, jaką sobie wymarzył? Na jaką zasłużył?

Prokuratura miała w Pogodnej mnóstwo roboty. W stawie, na tyłach Czerwonego Nosa znaleziono sztylet, z którym miałem okazję zapoznać się od środka. Swojego środka. Młodego Kurczybuta aresztowano. Postawiono mu zarzut zabójstwa oraz usiłowania zabójstwa. Dlaczego zabijają? Znajdował się pod wpływem silnej osobowości ojca, który chciał z niego uczynić mężczyznę w sensie szekspirowskim. Głupie tłumaczenie? I mi się tak wydaje. Ale nie mam lepszego.

Kariera mecenasa Kurczybuta została zakończona, a jego praktyka zamknięta. Nie mógł wystąpić nawet w obronie samego siebie, bowiem w trybie nadzwyczajnym pozbawiony został uprawnień adwokackich. Miał odpowiadać za nakłanianie do morderstwa oraz kierowanie organizacją o charakterze neofaszystowskim. Całe życie handlował bezkarnością. Na koniec przelicytował.

Aresztowano też trójkę tęczywych, którzy dołączyli do wcześniej zatrzymanych kompanów. Ich solidarność z mecenasem wyparowała natychmiast, gdy tylko stało się jasne, że nie wybroni już nikogo. Kolorowemu, Miłkiemu i Głownogowi zarzucono współudział w usiłowaniu zabójstwa. W nieco lepszej sytuacji był Kolorowy. Przez niego o mało nie zginąłem, ale też jemu w pewnym sensie zawdzięczałem życie. Łysy i Trygław zostali oskarżeni o zacieranie śladów zabójstwa.

Komendant miejski i redaktor naczelny portalu i tygodnika stracili swoje funkcje. Postawiono im zarzuty przynależności do organizacji neofaszystowskiej i podżegania do

nienawiści na tle rasowym.

Nowy komendant wziął się energicznie do pracy. A miał jej sporo. Także tygodnik i portal internetowy pod wodzą nowego naczelnego zaczął nadawać na innej nucie. „Ręka przodków” została amputowana. Jej miejsce zajęło „jajo węża”. Czytelne zapożyczenie z filmu Bergmana.

„Jak to możliwe, że pod naszym nosem, na naszych oczach to jajo zostało złożone, wysiedziane i wyklute?” – pytał nowy naczelny w swym pierwszym wstępniku.

No właśnie, jak?! Sam się nad tym głowiłem. Już przedtem, kiedy ludzie zamykali oczy bądź odwracali głowy.

Czy wszystko się wyjaśniło? A czy kiedykolwiek wszystko się wyjaśnia? Mógłbym przekonywać, że za wydarzeniami kryły się trzy kolory, siedem grzechów głównych, dziesięć (złamanych) przykazań, dziewięćdziesiąt pięć tez Marcina Lutra (i powtórzyć za Martinem Luterem Kingiem: „miałem sen”), sto jeden dalmatyńczyków, sześćset dwadzieścia dwa upadki Bunga albo nawet tysiąc i jedna noc. Ale kto by mi uwierzył?

Jako pierwszy odwiedził mnie Mikołaj. Przyniósł ze sobą altówkę, zamkniętą w futerale i pieczołowicie owiniętą w chustę.

– Blue mi ją dała – wyjaśnił.

Rzeczywiście, rozpoznałem zapach dziewczyny. Po kilku dniach pobytu na oiomie moje zmysły były dziwnie wyczułone.

– Mówiłem ci, że jesteś na dobrym tropie i że jest to trop niebezpieczny. Cud, że przeżyłeś.

– A co u Blue? – spytałem.

– Nie wiem – skrzywił się. Czyżby kolejny, któremu się nie powiodło? – Pewnie wyjedzie.

Staszek Łędzwień, fantasta i człowiek, zamiast którego miałem zginąć, poświęcił się całkowicie biznesowi meblarskiemu.

– Jak będzie chciał, pojedzie do Blue Note w Nowym Jorku – stwierdził Mikołaj. – Stać go.

– A ty? A Jakub? Nie żal wam grania?

– Żal, ale sami tego nie uciągniemy. Zwłaszcza bez lidera.

Spojrzał na mnie. Pokręciłem głowę. Ich prawdziwym liderem był Cygan. Tylko czasowo zająłem jego miejsce. A poza tym miałem inne plany. No cóż, Blue Note zmieni wkrótce właściciela, nazwę i profil. Nie chciałem zgadywać na jaki.

Po wyjściu Mikołaja bliżej przyjrzałem się altówce. Poruszona nie wydawała żadnego odgłosu. Czipy zniknęły. Prawdopodobnie zatrzymano je jako materiał dowodowy.

Blue nie pokazała się, ale zadzwoniła.

– No, jak tam, żyjesz? – spytała głosem możliwie obojętnym.

– Żyję. Dzięki tobie.

– Daj spokój. Nie wracajmy do tego. To nie jest moje ulubione wspomnienie.

– Słyszałem o twojej ciotce. Przykro mi.

– To dla niej ulga. Dla mnie też, choć może nie powinnam tego mówić.

– Teraz możesz odjechać dokąd chcesz.

– Podobnie jak ty – usłyszałem w jej głosie pożegnalne tony.

– Jak wyzdrowieję, to wyjadę. Czy mogłabyś mi podać choć jeden powód, abym nie wyjeżdżał?

– Nikt ci go nie znajdzie. Taki powód musi być w tobie. Trzymaj się, altowiolisto.

– Trzymaj się, Blue.

Ucieszyła mnie wizyta Donaty. Wcale nie zmartwił fakt, że była w towarzystwie Jakuba, który z przygodnego pacjenta szybko awansował do znacznie poważniejszej roli.

– Pamiętasz psa, który o mało nie odgryzł mu ręki? – czule dotknęła nadgarstka perkusisty.

Skinąłem głową.

– Przecież o mało nie odgryzł mi nogi. Co z nim?

– Stary Kurczybut próbował zastrzelić oba amstafy. Pewnie nie miały szczerpień, a mecenas bał się, że wykręci się z grubych spraw, a polegnie na małych.

– Od psów bardziej się boję wściekłych ludzi.

– Ja też. Posłuchaj dalej. Jednego zabił, a drugiemu odstrzelił tylko ucho. Mieli go uśpić, ale się postawiłam. Spróbuję go resocjalizować. Jakub – pogładziła perkusistę po obandażowanej dłoni – obiecał, że mi pomoże.

Blue zniknęła. Zostawiła Kolorowego, bo wiedziała, że do pewnych prawd dochodzimy (albo nie dochodzimy) sami. Wyjechała. Do Londynu? Do Dublina? Dokądkolwiek. Nikt nie wiedział albo nie chciał mi powiedzieć. Im więcej o niej myślałem, tym bardziej zdawało mi się, że w ogóle nie istniała. Była projekcją mojej podświadomości. Lub – proszę, nie śmiejcie się – aniołem stróżem, który zniknął po wykonaniu zadania.

I ja nie zamierzałem zostawać w Pogodnej. Wraz z lepszym samopoczuciem rodziło się we mnie przemożne pragnienie wyjazdu. Musiałem wrócić do czegoś znanego, poszukać zerwanej nitki. Dopomógł mi w tym mail, który pod koniec czerwca dostałem od Gedetego: „Będę przejazdem w Krakowicach. Chciałbym się z tobą zobaczyć”.

Aby zdążyć na spotkanie ze starym druhem, musiałem się spieszyć. Następnego dnia wypisałem się ze szpitala na własne żądanie. Na odchodnym siostra oddziałowa wręczyła mi zaklejoną kopertę.

– To od tej niebieskiej dziewczyny. Prosiła, abym oddała ją panu nie wcześniej niż w dniu wypisu.

Nie miałem ochoty go otwierać. Nie przepadam za pożegnaniem. Postanowiłem, że przeczytam go dopiero wówczas, gdy spodziewana treść będzie mi już obojętna.

Podpisałem zobowiązanie do stawienia się na procesie. Załatwiłem formalności związane z mieszkaniem. Wyrzuciłem, co zbędne. Mój dobytek zmieścił się w średniej wielkości plecaku. Dopełniał go futerał z altówką. Nie był to oszałamiający dorobek życiowy, ale miał jedną wielką zaletę. Ułatwiał przemieszczanie.

Do Krakowic dotarłem następnego dnia. Gedete zaproponował, abyśmy spotkali się w samo południe, w parku nad jeziorkiem. Może ciągle miał powody, aby unikać miejsc publicznych?

W skwer dość wyludniony jak na słoneczny dzień wdarły się nagle dwa odgłosy. Ciężkie niedźwiedzie kroki i tupot małych łap. Nie wierzyłem własnym oczom.

Eston?! Estonek właściwie. Kilka razy mniejszy od oryginału, ale skóra zdjęta z ojca! Malec zastygł na mój widok, po czym puścił się ku mnie radosnym kłusem, aż mu się wywinęło ucho. Gedete podążał za nim.

– Jak tylko się urodził, postanowiłem, że trafi do ciebie.

Malec obskakiwał moje nogawki, a wzięty na ręce zaczął gryźć mnie w nos.

– Ty jesteś łobuz! – postawiłem go na ziemi. Spojrzał na mnie bystro, po czym pobiegł na niezauważalne dla niewtajemniczonych wzniesienie, pod którym spoczywał mój przyjaciel. Po oddaniu moczyku na moglię tatusia Estonek – jeszcze nie wiedziałem, jakie mu dam imię – wrócił do mnie i od tej pory już mnie nie opuszczał.

– No tak! – śmiał się Gedete. – Wiedziałem, że chemia wybuchnie od razu. Tylko daj mu jakieś sprawiedliwe imię. Eston był Łotyszem, więc ten mały...

– Łotyszek? Za długie. Może Łotrek?

– Ja wiem? Nie każdy Łotysz to łotr.

– Nie, no jasne... Poczekaj. To może... Łotyś? Albo Łot.

– *What? Why not!* Dużo lepiej! – rozpromienił się.

– A co z Polą?

– Zajmuje się resztą przychówku. Jeszcze czwórka tego jest. Jeden w jeden udane. Dzikie i niezależne jak cholera. Ale ten – wskazał na malca – zdecydowanie najweselszy. Polą z kolei zajmuje się moja mama, więc wszyscy są szczęśliwi. To co, idziemy? Mam do ciebie jeszcze jedną sprawę, ale o niej pogadamy przed parkiem.

Przy krawężniku parkował zielony nissan leaf. Mojemu przyjacielowi powodziło się nieźle.

– Ładne autko.

Być może wyczuł w moim głosie odrobinę goryczy, ale z reakcją przesadził.

– Podoba ci się? No, to oddycham z ulgą. Jest twoje.

– Oszalałeś?!

– To chyba ty oszalałeś! Myślisz, że mam zamiar jeździć taką małą furką? Ja jestem chłop na schwał, potrzebuję limuzyny.

– Zaraz, zaraz, Gedete, porozmawiajmy poważnie...

– A o czym tu gadać? To auto stało na wystawie salonu samochodowego będącego własnością naszego przyjaciela z Włoch. Zdaje się, że ma wobec ciebie pewne zobowiązania?

– Ale...

– Bez „ale”. Papiery są wyczyszczone w stu procentach. To część mojego zawodu, pamiętasz jeszcze?

Machnąłem ręką. Gedete nie zamierzał dzielić włosa na czworo. Nie ten typ.

– Trzeba by to oblać – zaproponowałem.

– Nie tym razem – zaprzeczył. – Czas biznesmena jest cenny. W przeciwieństwie do czasu bezrobotnego muzyka – puścił do mnie oko. – Ale spotkamy się niedługo, bez obaw.

– To może chociaż gdzieś cię podwiozę?

– Nie trzeba. Lubię czasem odetchnąć od motoryzacji.

I Gedete zniknął.

A ja stałem, niczym słup soli, między malutkim psem i całkiem sporym samochodem. W końcu Łot zaczął się niecierpliwić.

– Masz rację – otwarłem tylne drzwi. – Do wozu! – wydałem komendę, a malec wykonał ją z ochotą.

– No, to jedziemy! – uruchomiłem silnik, który zaszemrał przyjemnie.

– Dokąd? – dobiegło mnie z tyłu mruknięcie.

– Poczekaj no chwilę...

Wyjąłem z kieszeni pomiętą kopertę. Rozerwałem ją po chwili wahania.

Chcecie wiedzieć co było w środku? No, nie wiem... Po tylu osobistych wynurzeniach odczuwam niedostatek prywatności. Ale dobrze, niech będzie. Na kartce napisanych było trzydzieści słów, po których oznajmiłem Łotysiowi:

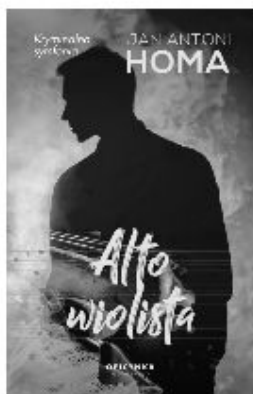
– Już wiem dokąd.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH

MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warszatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387

